

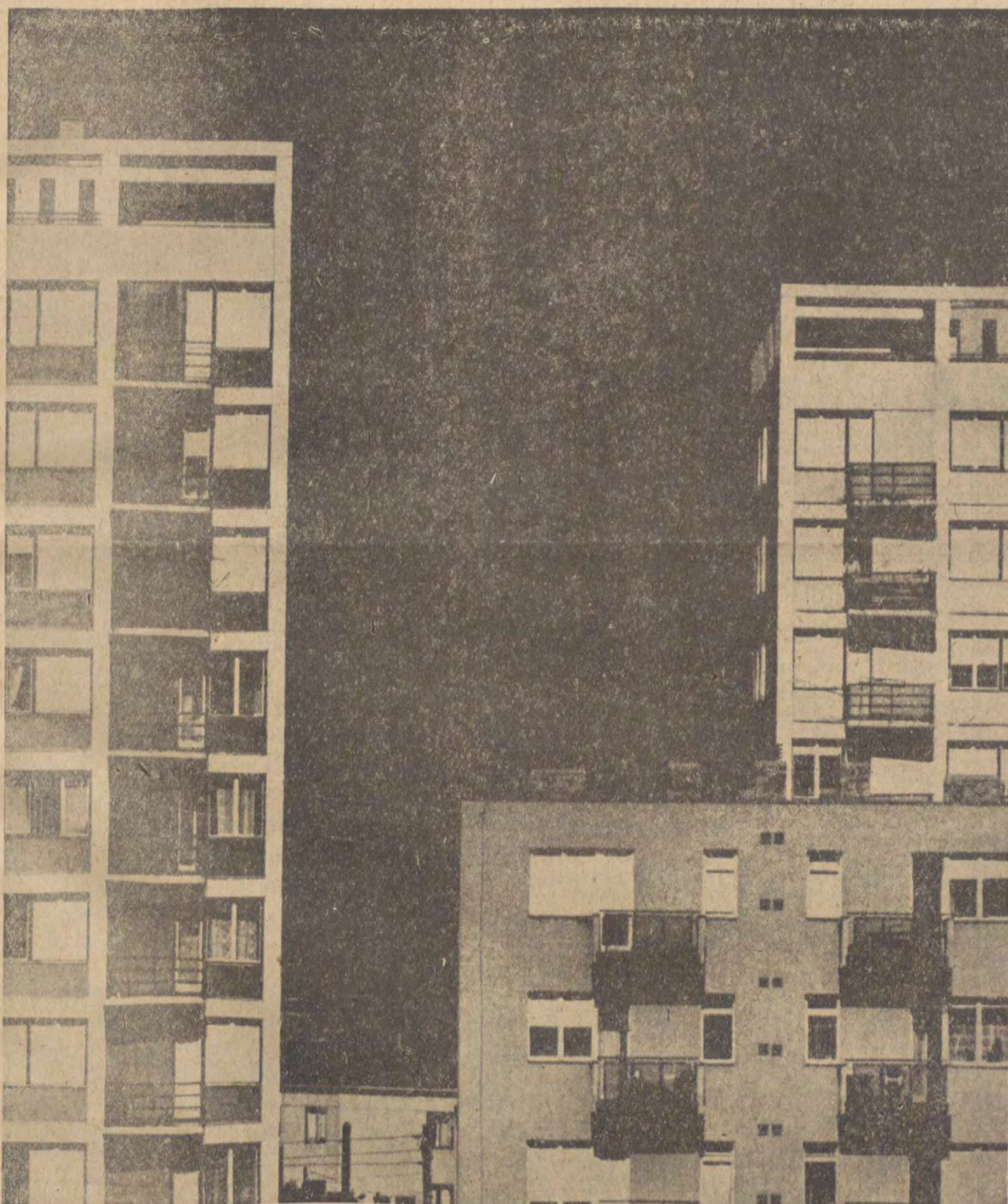
Dziś w numerze: ● Alkoholizm – występki? ● Błazen z Palmyrosy ● Turniej jednego wiersza ● Dwugłos o wystawie XVII-wiecznego malarstwa holenderskiego ● Oblężony na Jasnej Górze ● Recenzje ● Felietony

odgłosy



Nr 47 (461)
26 XI. 1967 r.
19 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



Sędzia ludowy

Roli i zadaniom ławników, jako czynnika obywatelskiego w wymiarze sprawiedliwości, poświęcona została kolejna dyskusja redakcyjna „Odgłosów”. Wzięli w niej udział reprezentujący sądownictwo sędziowie: Irena Lass-Balczarek i Eugeniusz Baworowski oraz ławnik Adolf Capf. Do dyskusji zaproszony został także znany pisarz Zbigniew Nienacki, który w jednej z poprzednich kadencji był ławnikiem ludowym. Z ramienia „Odgłosów” dyskusję prowadził Konrad Frejdllich. Niżej publikujemy fragmenty tej dyskusji.

KONRAD FREJDLICH: Zaprosiliśmy tu dzisiaj państwa, aby pomówić o statusie społecznym ławników ludowych, a tym samym o ich roli i zadaniach w wymiarze sprawiedliwości. Wybory nowych ławników, które mamy właśnie za sobą, są nie tylko dobrym pretekstem do takiej rozmowy, są one bowiem także w pewnym stopniu materiałem do refleksji na interesujący nas wszystkich temat. Nie chciałbym, oczywiście, narzucać kierunku naszej dyskusji, w tym gronie jestem z całą pewnością osobą najmniej do tego upoważnioną, gdyż moje kontakty z wymiarem sprawiedliwości są więcej niż powierzchowne, ale warto przypomnieć, że pod adresem ławników poprzedniej kadencji w prasie fachowej ukazało się wiele krytycznych głosów. Przypomnę może tylko niektóre. Mówiło się tam na przykład, że ławnik jest bardziej niż sędzia profesjonalista podatny na napór środowiska, w którym żyje, co niekiedy może prowadzić do skrzywienia wyroku. Poza tym podnoszono cały szereg argumentów innej natury, na przykład, że ławnicy nie zawsze zbyt aktywnie uczestniczą w rozprawie, że ich rola często sprowadza się do potakiwania. Czy państwo mogą się zgodzić z podobnymi zarzutami, z podobnym obrazem pracy ławnika w sądzie? Zapraszam do szczyrych i szerokich wypowiedzi, które złożyć się mogą na obraz społecznego statusu ławnika.

IRENA LASS-BALCZAREK: Dążność do likwidacji sądownictwa państwowego, przekazanie wszystkich sporów do rozstrzygnięcia społeczeństwu, jest tendencją rozwojową wszystkich cywilizowanych społeczeństw. Zjawisko to możemy zaobserwować także w naszym kraju. Społeczne komisje pojednawcze i sądy zakładowe w fabrykach, orzekają dziś w wielu sprawach, odciążając sądownictwo państwowe. Wyrazem tych tendencji jest także udział ławników, jako czynników społecznego, w wymiarze sprawiedliwości. W tym miejscu chciałabym od razu rozprawić się z twierdzeniem, że ławnik jest bardziej niż sędzia zawodowy podatny na nacisk swego środowiska. Proszę państwa,

Dalszy ciąg na str. 5

RYSZARD BINKOWSKI

Badylarz na cenzurowanym

Mimo wielu publikacji prasowych, radiowych i telewizyjnych — badylarz pozostaje istotą niezbyt znana. Jego życie otoczone jest nimbem tajemnicy, nie sposób trafić w zamknięty światek badylarskiej braci. To, co widzimy na co dzień, nie dotyczy sedna sprawy: nie daje istotnych wiadomości, nie odzwierciedla w pełni życia podlódzkich biznesmenów. Trzeba fachowca, który znałac powierzchownie upraw i jej rodzaj, z ołówkiem w ręku obliczyliby dochód ogrodnika. Zresztą, biorąc rzecz na chłopski rozum, logicznie i prosto — któraż z wiejskich kobiet powie sasiadce, ile grosza ma napchanego w pończosze czy sienniku? Użalać się będzie, biadolić srodze i utyskiwać na los, choć trzos ma niezgorzej nabity. A podobna mentalność i badylarz posiada — jakże więc reporterowi wdrzeć się w życie tegoż badylarza i uchylić rabka tajemnicy. Ja nie jestem cwaniak ani bystrzak

żaden, oni ze mną rozmawiać nie chcieli zbyt chętnie, musiałem więc — by nie przeczyć słowom wyżej powiedzianym i coś nowego wnieść — składać materiał z luźnych, pobieżnych obserwacji, jak również drogą pośrednią go zdobywać i od ludzi związanych z życiem i pracą ogrodników podlódzkich.

1.

Jakżeż każdy niemal ogrodnik od pomidorów zaczyna złoty interes — nie taki się liczy w konkurencji, w walce o jakość i ilość, o rynek wreszcie. Nigdy potentatem nie stanie się badylarz od ogórków, kapusty, marchewki i kopru. Ci, których widzimy, jak furkami zwożą o bładym świecie warzywką rozmaite; jak się tłoczą i o niej sse na ryneczku wyklócają — ci nie stanowią świata możnych: prym wiodą, kró-

lują niemal — kwiatiarze. Bzy, cieplarniane róże, goździki i chryzantemy wiodą do wysokiego miejsca, do dostatku i rozkoszy. Koło Zielonego Rynku mieszczą się budynki, w którym gama barw z różnorodnym zapachem się miesza — to hurtownia skupująca kwiaty. Przed wejściem zatrzymują się samochody: zwykłe, szare furgonetki, a obok nich wozy ekskluzywne, o kształtach fantazyjnych, niklem i lakierem lśnią. Przybyli w furgonetkach — to przedstawiciele uspołecznionego ogrodnictwa. Stoją cierpliwie w kolejce, by narecz kwiatów upłynąć, a urzędnik skrupulatnie długość łodygi wymierza, z linijką w ręku wysokość kwiatu określa, pilnie bada pęknięcia;

Dalszy ciąg na str. 4

Alkoholizm — występek?

Nadużywanie napojów alkoholowych jest o tyle niebezpieczne, że częstokroć przez radza się w alkoholizm. Opinia publiczna coraz bardziej interesuje się formami oraz skutkami walki z tym ujemnym zjawiskiem społecznym. Jest ono jednym z najpoważniejszych i, niestety, nie rozwiązanych jeszcze dotąd problemów.

Skuteczność walki z tym społecznym szkodliwym zjawiskiem uzależniona jest od prawidłowego stosowania wszelkich środków, w tym często nawet drastycznych.

Obowiązująca w Polsce ustawa z dnia 10. XII. 1959 r. o zwalczaniu alkoholizmu uznaje się za najbardziej radykalną ustawę w świecie. Mając więc w dyspozycji tak ocenianą ustawę zdawać by się mogło, iż nie stoi na przeszkodzie, aby to społecznie niebezpieczne zjawisko opanować. Uproszczeniem byłoby jednak twierdzenie, że sama ustawa, nawet najbardziej radykalna, rozwiąże problem i zapewni porządek w tym zakresie. W walce z tym ujemnym społecznym zjawiskiem większą rolę niż „prawo pisane” odgrywa zdecydowane przeciwdziałanie społeczne. Twierdzenie to wysuwam na podstawie praktyki pracy organów Milicji Obywatelskiej.

W walce z alkoholizmem jak najbardziej aktywny udział bierze Milicja Obywatelska. Zadania naszego aparatu, zgodnie z postanowieniami ustawy grudniowej, polegają głównie na:

- rozwijaniu działalności profilaktycznej oraz wspólnej pracy z zainteresowanymi instytucjami i organizacjami w dziedzinie zapobiegania szkodliwemu skutkowi;

- zwalczaniu skutków nadużywania alkoholu w ramach ogólnej walki o utrzymanie spokoju, porządku i bezpieczeństwa publicznego;

- prowadzeniu prawidłowej polityki represyjnej za wykroczenia wykazywane z przepisów ustawy;

- czuwanie nad przestrzeganiem przepisów o ograniczeniu sprzedaży i podawaniu napojów alkoholowych osobom będącym w stanie nietrzeźwym poprzez ujawnianie i ściganie przestępstw i wykroczeń w tym zakresie.

Mimo stosunkowo szeroko rozwiniętej działalności profilaktycznej w naszym mieście, trudno jest ocenić sytuację w tym zakresie za opanowaną. Notuje się ewidentny wzrost konsumpcji alkoholu ze wszystkich, wynikających z tego niezaprzeczalnego faktu, konsekwencjami. Jedną z nich jest wzrost przestępczości kryminalnej. Tak społecznie niebezpieczne przestępstwa, jak rozbój, wystręki chuligańskie oraz wykroczenia zawierające, cechy chuligaństwa, w olbrzymiej większości dokonują się na osobach pijanych, bądź też przez osoby, będące w stanie nietrzeźwym.

Od szeregu lat stwierdzamy, iż na ogólną liczbę osób, które stały się ofiarami rozbójców, 75—80 procent było w stanie nietrzeźwym. Ponad 90 procent sprawców przestępstw chuligańskich, w chwili działania, znajdowało się pod wpływem alkoholu. Wskaźnik wykroczeń wynikających z nadużywania alkoholu sięga 60 proc. ogółu wykroczeń o większej szkodliwości społecznej czy też, za które Milicja Obywatelska sporządza wnioski o ukaranie do Kolegium Karno-Administracyjnego. Bezpośrednie działanie alkoholu na powstanie tendencji do popełnienia czynu przestępczego związane jest z łatwym powzięciem zamiaru dokonania przestępstwa w stanie ograniczonej sprawności umysłu, przy jednoczesnej dużej pobudliwości uczuciowej, drażliwości, agresywności, a nawet brutalności. W tych warunkach, niekiedy zupełnie błahy powód doprowadza do wybuchu gwałtownej złości, a co za tym idzie, i do najpoważniejszych nawet przestępstw przeciwko osobie, władzy lub mieniu. Ofiarami takich czynów są osoby, z którymi osobnik nietrzeźwy zetknął się najzupełniej przypadkowo, a w kregu rodzinnym najbliżsi — rodzina, żona i dzieci.

Te tezę potwierdzają wzrastające z roku na rok interwencje pogotowia milicyjnego, wzywającego przez rodzinę, względnie środowisko, w miejscu zamieszkania osoby „szalejącej” pod wpływem alkoholu. Dla porównania: za trzy kwartały 1965 roku przeprowadzono 16.034 interwencje. W tym samym okresie 1966 roku — 19.898, a w 1967 r. — 21.670 interwencji.

Analiza przeprowadzonych interwencji pogotowia milicyjnego jest bogatym materiałem badawczym w naszej pracy zawodowej w zakresie rozwijania wielokierunkowych dzia-

łań profilaktycznych. Na przykład kierowanie wniosków do Komisji Społeczno-Lekarskich o przymusowe leczenie alkoholików, ingerowanie w życie ich rodzin, interesowanie się losem dzieci. Ustalenia nasze wskazują, że niemal w każdej rodzinie alkoholika panuje atmosfera lęku i grozy. Dzieci są tam świadkami maltretowania matek przez pijanych ojców, a często same są ofiarami ich tyranii. Atmosfera ta prowadzi do konfliktów z ojcem, matką, szkodliwym towarzyszem poza domem, powoduje zaburzenia nerwowe — i wreszcie — co jest zjawiskiem nagminnym — stałe się powodem niedostatku, graniczącym niejednokrotnie z niedzą.

Nasze badania wykazały również, iż dzieci poznają smak alkoholu zazwyczaj w domu, gdy rodzice alkoholicy, zatracać całkowicie zdrowy rozsądek, nakładając je do picia wódki. Staje się to przyczyną niedorozwoju umysłowego, opóźnienia w nauce, rezygnacji ze szkoły i w ostatecznym rachunku — powiększenia liczby nieletnich nie uczących się i nie pracujących, którzy z biegiem czasu, schodzą nieraz na drogę przestępstwa. Dążąc do stosowania skuteczniejszych form przeciwdziałania tym narastającym zjawiskom. Komenda Miejska MO. na przestrzeni ostatnich kilku lat, dokonała szeregu badań, mających na celu ustalenie i poznanie potrzeb rodzin i dzieci alkoholików. Analizowano sprawy prowadzone z art. 23 ustawy o zwalczaniu alkoholizmu (fizyczne lub moralne znęcanie się pod wpływem alkoholu nad członkami rodziny, lub osoba pozostająca w stosunku zależności od sprawcy). Duża liczba (47 proc.) prowadzonych tego typu spraw umorzono z braku cech przestępstwa lub dostatecznych dowodów winy. Składa się na to przede wszystkim fakt, iż szereg maltretowanych kobiet, już następnego dnia po złożeniu zawiadomienia o przestępstwie, nie potwierdza swoich skarg, co oczywiście wcale nie oznacza, że alkoholik zmienił swój stosunek do rodziny. W takich wypadkach kedy matka cofa swoje oskarżenie, ustalenie faktów maltretowania dzieci nie jest łatwe. Niemniej jednak umorzenie dochodzenia z braku dowodów winy, lub cech przestępstwa, nie oznacza, iż rodzina alkoholika wypadła z pola naszego widzenia.

Większość rodzin „domniemyanych sprawców” posiada nieletnie dzieci. Z reguły znajdują się one w trudnych warunkach opiekuńczo-wychowawczych i życiowych. W celu ustalenia rozmiarów zaniedbań występujących w tych rodzinach, zagadnienie konieczności okazania pomocy potraktowaliśmy oddzielnie dla rodzin i dzieci, wydzielając w ten sposób dwie grupy potrzebujących. Na ogólną ilość odwiedzonych rodzin, blisko 73 procent wymagało niezwłocznego okazania różnorodnych form opieki i pomocy ze strony powołanych do tego instytucji. Bezpośrednie rozmowy ankietujących funkcjonariuszy MO z członkami rodzin, przeprowadzane w czasie wizytowania mieszkań oraz osobiste spostrzeżenia pozwoliły ustalić niektóre potrzeby życiowe matek i dzieci.

Głównym problemem występującym w tych rodzinach był alkoholizm ojców. Zaszła potrzeba przymusowego leczenia wielu osób, z tego częściej, ze względu na kłopotliwy nałóg pijactwa, wymagała umieszczenia w zamkniętych zakładach lecznictwa odwykowego. Pijaństwo ojców miało bezpośredni wpływ na braki materialne rodzin. Na tle alkoholizmu, i związanego z tym niedostatku, w rodzinach tych występują zaniedbania opiekuńczo-wychowawcze nad nieletnimi. W tych warunkach nie może być mowy o dostrzeganiu i zaspokajaniu szeregu potrzeb, niezbędnych dla prawidłowego fizycznego i umysłowego rozwoju dziecka. W konsekwencji więc konieczne jest udzielenie tym rodzinom zaomóg pieniężnych, odzieży, umieszczenia dzieci w żłobkach, przedszkolach, kierowania na kolonie, do świetlicy szkolnej, bezpłatne dożywianie, itp. itd. Wykorzystując wstępne doświadczenia z wyżej omówionych badań, podjęliśmy pracę nad rozpoznaniem sytuacji rodzinnej osób, które kilkakrotnie przebywały w Izbie Wyrzeczów. Badaniemi objęto 579 rodzin z 934 dziećmi.

Z ogólnej liczby badanych, aż 199 rodzin, w których było 380 dzieci, znajdowało się w trudnej sytuacji życiowej i wymagało bliźszego zainteresowania. W sprawach 116 małoletnich milicja wystąpiła do władzy opiekuńczej Sądu dla Nieletnich o pozbawienie władzy rodzicielskiej, bądź umieszczenie w Zakładzie Wychowawczym, czy też w Domu Dziecka, 146 dzieci, wymagało pomocy materialnej. Pozostałe przypadki dotyczyły zmiany rodzaju pracy matki lub zapewnienia jej



stałej pracy, skierowania nieletniego do poradni społeczno-wychowawczej, skierowania członka rodziny do pracy, itp.

Podobnie jak w poprzednich badaniach, tak i tutaj, podstawowym problemem był alkoholizm ojców. Pomijając osoby, które zakończyły już leczenie, względnie leczyły się aktualnie, 71 ojców wymagało skierowania na przymusowe leczenie odwykowe. W wielu przypadkach okazało się, że ojcowie odbywają kary więzienia, a dziećmi w tym czasie opiekowały się matki i sytuacja tych rodzin nie wymagała bliźszego zainteresowania ze strony milicji. Wiele takich małżeństw rozszło się, a dzieci pozostały przy matkach. Sytuacja tych dzieci była na ogół dobra.

W świetle tych badań zrodziła się myśl bardziej wnikliwego spojrzenia na stosunki panujące w rodzinach, których członkowie zostali już zarejestrowani w Izbie Wyrzeczów. Badaniemi objęliśmy osoby, które były odwołane przez MO do Izby ponad 5 razy. Nie jest chyba dziełem przypadku, iż człowiek trafia do Izby 5 razy, nie mówiąc już o tych, którzy byli tam notowani częściej. Ponadto, należy przypuszczać, iż w wielu przypadkach te same osoby, będąc w stanie nietrzeźwym, nie trafiały do Izby Wyrzeczów. Nie ponosząc więc większego ryzyka można było mówić o badaniach, jako o osobach nie tylko nadużywających alkoholu, lecz także alkoholikach. Na podstawie kartoteki Izby wytypowano 1.382 osoby, których daty urodzenia wskazywały na to, iż mogą posiadać małoletnie dzieci. Z tej liczby objęto badaniami 1.077 osób. Do pozostałych nie udało nam się dotrzeć z różnych przyczyn. Najliczniejszą grupę, do której nie dotarliśmy, stanowili alkoholicy odbywający aktualnie kary więzienia za różne przestępstwa. 19 osób zmarło, w tym kilka popełniło samobójstwo pod wpływem alkoholu.

Większość badanych stanowili ludzie młodzi, w średnim wieku, w okresie pełnej wydolności pracy. Tylko 105 osób było w wieku ponad 40 lat. Poziom wykształcenia różny, ogólnie jednak — raczej niski. Przeszło 65 procent badanych, to pracownicy fizyczni, 6,4 procent pracownicy umysłowi, 5,1 procent rzemieślnicy, 17,4 procent nie pracowało i nie posiadało zawodu, a 4,9 procent było już na rencie. Rodziny pełne stanowiły 70,8 proc., rodziny rozbite (małżeństwa po rozwodzie i żyjące w separacji) — 11,2 proc. Pozostała grupa to osoby wolne. Z ogólnej liczby badanych 730 rodzin posiadało nieletnie dzieci, w tym 287 rodzin posiadało jedno dziecko, 304 rodziny — 2 dzieci, 104 — troje, 22 — czworo, 7 — pięcioro, 4 — siedmiorgo, 1 — ośmiorgo, 1 — dziewięciorgo dzieci. Ogółem wszystkie rodziny miały łącznie 1.375 dzieci.

Sytuacja materialna badanych i ich rodzin jest bardzo zróżnicowana. Często krytyczna. Komplikuje ją jeszcze fakt, iż większość ojców

pije często, wydaje na alkohol część zarobków, przeznaczonych na utrzymanie rodziny. Uwzględniając realny koszt utrzymania jednego członka rodziny, przypuszczając, iż praca zawodowa nie jest ich jedynym źródłem utrzymania. W grę mogą tu wchodzić wynagrodzenia za wykonywane prywatne usługi, czy prace zlecane, ale też i zyski osiągane drogą przestępstwa. W 99 przypadkach ciężar zarabkowania i gospodarowania spada wyłącznie na matki. W 532 przypadkach pracowali małżonkowie, a żona, Większość kobiet posiadających dzieci pracowała wielozadaniowo i w związku z tym — w godzinach pracy matek — dzieci pozostawały bez opieki. Jeśli chodzi o częstotliwość picia alkoholu, to aż 54,9 proc. badanej zbiorowości pije często.

Osoby te piją wódkę, wino, denaturat, piwo nija najczęściej z kolegami lecz także sami. Upijają się u znajomych, w lokalach gastronomicznych, w domu, a także, jak twierdzą niektórzy, „gdzie się da”. Motywy picia są różne, 29,9 proc. pije ze względu na towarzyskich i na umowy kolegów, 18,5 proc. — pije dla przyjemności, 14,4 proc. pije z powodu niepowodzeń osobistych, 8,4 proc. z przyzwyczajenia, 5,7 proc. — twierdzi, że „po to jest wódka, aby ją pić”, a 23,1 proc. badanych nie potrafiło odpowiedzieć dlaczego pija. Najliczniejszą grupę stanowią osoby w wieku 30—35 lat. Okres picia alkoholu waha się w granicach od pięciu do ośmiu lat.

Przedstawione wyżej dane dotyczą osób nadużywających alkoholu, warto więc pokrótce zobrażować również sytuację ich rodzin. Na temat przyczyn picia, warunków domowych i sytuacji dzieci wypowiadali się ich żony. Rozmawialiśmy z 651 żonami. Prawie 40 proc. badanych rodzin przeżywa awantury pijanych mężów, ojców. Rodziny te są narażone na występowanie ordynarnych słów nierzeczywistych awanturników, a nierazko muszą bronić się przed brutalnym atakiem fizycznym. W wielu rodzinach alkoholicy są zaccpni, nerwowi i skorzy do awantur. W wielu rodzinach upijają się do nieprzytomności, tracą okresowo pamięć. Pytaliśmy zainteresowane żony, co — ich zdaniem — należałoby zrobić, aby mężczyźni nie nadużywali alkoholu. Zdecydowana większość żon odpowiedziała, że za stosowaniem ostrych środków represyjnych, kierowaniem upijających się mężów do zamkniętych zakładów lecznictwa odwykowego, kierowaniem do obozów pracy, ograniczeniem podaży alkoholu itp.

W omawianych rodzinach było łącznie 1.375 dzieci do lat 18. Z tej liczby: 78 dzieci przebywało poza domem rodzinnym, więc u krewnych, w domach dziecka, w pogotowiu opiekuńczym, w zakładach wychowawczych, poprawczych, w prewatoriach lub sanatoriach. 342 dzieci było w wieku przedszkolnym, 857 — uczyło się, 42 — pracowało, 3 — uczyło się i pracowało, pozostałe nie uczyły się i nie pracowały. Stan zdrowia dzieci pozostawia

wiele do życzenia. Najczęstsze schorzenia — to choroby płuc, serca, reumatyzm, astma, cukrzyca. Nie-regularne i nieodpowiednie odżywianie — najczęściej brak białka, tłuszczu, dostatecznej ilości cukru i owoców, spowodowało u wielu dzieci anemię. W środowiskach alkoholików panuje atmosfera lęku i grozy, a dzieci takich rodzin nie mają — rzecz prosta — pogodnego dzieciństwa. Awantury, bicie, demotowanie mieszkanca — wszystko to ujemnie wpływa na stan zdrowia dzieci. Wspomnie nawiasem, iż notujemy bardzo dużo wezwaw pogotowia milicyjnego do tych samych rodzin.

Przeprowadzone przez naszych funkcjonariuszy — z wykształcenia socjologów, prawników i pedagogów — badania stały się dla organów milicji nowym źródłem niezbędnych danych. W stosunku do 228 rodzin, mających łącznie 506 dzieci, zaszła konieczność udzielenia pomocy w pierwszej kolejności, więc w dożywieniu, umieszczeniu w świetlicy szkolnej lub półinternacie, objęcie ojców lecznictwem odwykowym, skierowaniem 137 spraw do władzy opiekuńczej Sądu dla Nieletnich. Należałoby dodać, iż na ogólną liczbę przypadków — ujawnianych corocznie przez MO, a dotyczących spraw nieletnich moralnie zaniedbanych — w około 40 proc. przyczyną zaniedbań opiekuńczych jest alkoholizm w rodzinie.

Młodzież naśladować wzory dorosłych, nadużywać alkoholu, często- kroć popada w alkoholizm, i to jest jedną z najcięższych stron tego zjawiska.

Działalność milicji, zmierzająca do przeciwdziałania moralnemu zaniedbaniu i przestępczości wśród nieletnich, obejmuje szeroko rozumiany kontakt z aktywnym społecznym oraz instytucjami i organizacjami społecznymi, którym sygnalizuje te niepokojące zjawiska. Celem tego jest wspólne opracowanie metod walki z alkoholizmem. Skuteczność działania naszego aparatu w walce z nim uzależniona jest od czynnej pomocy społeczeństwa. Odezwuwała jest pomoc społecznej organizacji ORMO, a w szczególności grup pedagogicznych tej organizacji. Przed tym kłopotliwym specjalizacji ORMO, skupiającej nauczycieli, działaczy TPD, studentów i przedstawicieli innych zawodów, widzimy duże perspektywy rozwojowe. Kontynuacja i rozszerzenie form profilaktycznej działalności tego czynnika społecznego jest ze wszech miar celowe i pożądane, gdyż każde dziecko odzyskane dla społeczeństwa — to sukces i rekompensata za wysiłek i zaangażowanie.

Z konieczności, starałem się krótko scharakteryzować sytuację rodzin na i wychowawczą w środowiskach alkoholików. Zagadnienie to nie obrazuje oczywiście wielu innych, ujemnych skutków alkoholizmu w życiu naszego społeczeństwa. I sądzę, iż szeroka dyskusja na łamach „Odgłosów”, na ten właśnie temat, byłaby celowa i ze wszech miar pożyteczna.

Błazen z Palmyrosy

Już przed wiekami pisał Ronsard, że Francja to: „La mere des arts, des ammes et des lois...”

Francja jest matką wszy-
stkiego co dobre, piękne, stu-
sne i potężne na tym globie.
Francuzi do tego stopnia w to
uwierzyli, że przez pokolenia
nie wychylali głowy poza gra-
nice państwa.

Po co? Czy jest gdzie kraj tak
cudowny, tak wspaniały, tak aniel-
sko rozkoszny? Czy może gdzie tak-
im dorobkiem poszczycić się sztuka,
literatura, muzyka? Od tego
czasu wiele się zmieniło. W ostat-
nich 150 latach z wyjątkiem pierw-
szej, światowej, Francuzi przegrali
wszystkie wojny. To im dało do my-
ślenia. Dziś miliony Francuzów wy-
jeżdżają chętnie w dalekie strony,
głównie do Włoch i Hiszpanii. Wy-
jeżdżają i otwierają oczy. Łatwiej
już wierzą, że naprawdę większy
niż oni dorobek mają w sztuce Wło-
si, w muzyce Niemcy, w malar-
stwie Holendrzy, a w literaturze
Anglicy.

Ma to swoje dobre, ale też i złe
strony.

Zwłaszcza dla państwowego skarbu.
Bo o to ku wielkiemu zdumieniu fi-
nansowych specjalistów wyszło na
jaw, że Francji po raz pierwszy w
historii grozi ujemny bilans tury-
styczny. Francuzi więcej wywożą
dewiz za granicę niż ich przywożą
cudzoziemcy do Paryża. Czyżby
więc Paryż przestał już być pę-
kłem tego świata? Raczej tak. Wciąż
to jednak duża przyjemność obser-
wować na Champs Elysees owe ty-
sięczne korowody cudzoziemców,
głównie Anglosasów odbywających
turytyczne misterium, które na
tym polega, by pleszo przejść z
„Trocadero” przez Łuk Triumfalny,
koło egipskiego obelisku, aż do Luwru.
Jest coś w Paryżu, co na pury-
tańskich w głębi duszy Anglosa-
sach, wywołuje nieodpartą urękę. We-
szą za przelajacym bulwarami grze-
chem, czy za francuskim konia-
kiem? Nie wiem. Dość, że turyty-
czni spece są mimo wszystko nie-
zadowoleni. Zrobmy coś, messieurs,
tak dalej być nie może.

Francja to wprawdzie piękny kraj,
ale trzeba ją wyposażać w dodate-
kowe atrakcje.

Niechaj każdy departament wyka-
że własną w tej dziedzinie inicjatywę.
Droga wolna, prosimy bardzo
Departament Charente-Inferieure
uznać, że należy w pilnym trybie
wybudować średniowieczną wioskę.

Taka wioska już z ziemi wyca-
rowano. A jakże. Nosi dźwięczną
nazwę Palmyrosa. Jest położona na
leśnej polanie, tuż koło znanego ka-
pieliska Royan nad Oceanem Atlan-
tyckim. Wioska jest bajeczna jak z
Disneylandu. Pełno w niej zabaw-
nych karczem, po których rozcho-
dzą się smaczne zapachy, coś niby
gęś, albo pieczone na rożnie cięło.
Pełno zajazdów, ślicznych domków
na kurzej stopce, w których, na
oczach zdumionych Jankesów, ko-
wał podkuwa konia, a sklepikarz
przywozi na rynek warzywa na
grzbiecie osiołka. Nad sklepami zwł-
sają mosiężne szyldy, tu krawiec,
tam złotnik, gdzie indziej zegar-
mistrz i lutnik. A wszyscy pracują
wprost na ulicy, zupełnie jak za
czasów dobrego króla Filipa Pię-
knego, który często zapuszczał się na
wies, żeby podrywać młynarom co
dorodniejsze małżonki.

Turysta chodzi, patrzy i nadziwił
się nie może.

W szynkach podają dobrze uro-
dzone panienki z księżącego dworu,
ubrane w mantyle starego kroju,
oszyte jedwabną frezdlą i z białymi
czepkami na głowach. Wonderful,
coś wspaniałego. Turysta jest za-
chwycony. A potem wraca do Sta-
now i głosi wszem i wobec w Cha-
tanooga-Town, że przebywał w
autentycznej średniowiecznej wio-
szynie, gdzie wszyscy chodzą w dzi-
wacznie zakreconych butach, mają
raplery przy boku i w ogóle nie
znają samochodów. Palmyrosa
sorawdziła się, ale tylko częściowo.
Turytyczni przedsiębiorcy byli
wciąż niezadowoleni. Liczyli na jesz-
cze większe wpływy.

Odgrzebano więc Stawiskiego.

Tym młodszym rocznikom to na-
zwisko mówi niewiele, może nawet
nie mówi niczego. Otóż Stawiski
to na Zachodzie pewien symbol.
Właśnie on z niesłychaną zręczno-
ścią opłócił swymi macakami wielkie
francuskie banki i doprowadził w
ciągu jednej nocy do kompletnej
ruiny tysiące francuskich rentierów.
Skandal był niebywały. Afera o nie-
znanej dotychczas skali, w którą
wplątane były wysoko postawione
osobistości, Stawiski to defraudant,
wydrwigrosz, który zwykłym kan-
tem przez lata całe nabijał swoją
kieszonkę milionowym groszem.
Wszedł do historii kryminalistyki
jako genialny oszust finansowy, któ-
remu nikt nie mógł dać rady i sam
diabeł by z nim nie wygrał, gdyby
nie pewien przypadek. Ale to już
zupełnie inna sprawa.

Stawiski senior już nie żyje.

Otóż, kuci na cztery nogi spece
od turytyki wpadli na trop syna
genialnego oszusta.

Stawiski junior wiodł nader nędz-
ny żywot paryskiego aktorzy. Był
absolutną miernotą. Takie beztalen-
cie. Powierzano mu tylko rolę epi-
zodyczną, drugą, nawet trzeciorzęd-
ną, „ogony” jak to określają sami
aktorzy. Pertrakcje z synem Sta-
wiskiego długo nie trwały. Dlaczego
nie? On może przyjąć każdą rolę,
jeśli mu się dobrze za to zapłaci.
O co chodzi, ja się pytam — za pie-
niądze nawet małą tańczy... Stawi-
skiego przewieziono do Palmyrosy.
Powierzono mu rolę królewskiego
blazna.

To żaden trick ani bluff.

Syn aferzysty, którego nazwisko
zna i dziś jeszcze każde dziecko
francuskie, Stawiski-junior, rzeczy-
wiście występuje w roli królewskie-
go wesółka. I to na otwartej sce-
nie. Wprost na ulicy. Chodzi ubra-
ny jak na blazna przystało w dzi-
waczny kostium uszyty z koloro-

wych płatków, ma na głowie odbrzy-
mia czapę, odstające uszy i jest
obwieszony dzwonekami. Szwenda się
po zaułkach Palmyrosy i rozwe-
sela jak umie zagranicznych gości.
A umie chyba nieźle, skoro sztuka
się powiodła. Palmyrosa ma w tym
sezonie komplet turytów. Boom
jest wielki, zyski duże. Palmyrosa
nie wiadomo kiedy wyrosła na jed-
ną z tych francuskich miejscowości,
które jak Saint-Tropez, pominać
na turytycznym szlaku nie wypa-
da.

Stawiski jest ponoć znakomitym
wesółkiem podwózkowym.

Ale choćby nawet był kiepskim
blaznem i nawet na wesółka nie
bardzo się nadawał, to jest prze-
cież Stawiski. Wystarcza. Sic transit
gloria mundi... Jakże zmienne są
ludzkie losy. Johnny, spójrz tylko na
tego faceta z babskim wachlarzem
w łapie. To Stawiski, syn tego mi-
lionera co to przed wojną zbankru-
tował, bo narobił kantów i wsadzo-
no go do ciupy. Facet trząsł kiedyś
całą Francją. A teraz co? Popatrz
tylko na co przyszło jego synowi...
No właśnie. Turysta znajduje w
Palmyrosie wszystko, czego potrze-
buje. Średniowieczne miasteczko,
gęsty las, a w tym lesie polany na
których może się oddać w spokoju
filozoficznym refleksjom o bezuży-
teczności i niepewności ludzkich po-
czynach.

Pomysł z Palmyrosą okazał się
przedniel marid.

Daje również do myślenia.

Dowodzi, że problemu turytyki nie
załatwia same tylko uroki kraj-
obrazu, nie załatwi klimat, choć
też jest ważny, nie załatwi nawet
sieć hoteli i przedsiębiorstw usłu-
gowych na najwyższym poziomie.
Prawie wszędzie inwestuje się prze-
cież dziś grube miliony w turytykę.
Wszędzie na turytyce czekają
udogodnienia, które jeszcze kilkana-
cie lat temu były nie do pomyśle-
nia. Francuzi pierwsi zrozumieli, że
nie wystarcza same Pireneje koło
Perpignan, ani sławetna Nicea na
Lazurowym Wybrzeżu. Bo wcale nie
gorsze wybrzeże, może nawet dużo
lepsze, posiadają Hiszpanie na co-
raz bardziej modnej Costa Brava.
I właśnie na tym wybrzeżu, a nie
gdzie indziej, stawiają swe wspan-
iałe wille fabrykanci i bankierzy
z Düsseldorfu, Kopenhagi i Sztok-
holmu.

Turytyce trzeba podsunąć haczyk,
choćby nawet sztuczny, wtedy pol-
knie na pewno.

Kiedys nasz „Orbis” zamieścił w
„New York Herald Tribune” bar-
wą na kilkunastową wkładkę rekla-
mową o urokach naszego kraju.
Były tam zdjęcia Tatr, mazurskich
jezior, morza i jeszcze czegoś. Już
nie pamiętam. Pewien warszawski
felietonista rzucił się na to ogło-
szenie z piorunem. Jakże tak moż-
na. Przecież to parodia naszego
kraju. Ludowa ojczyzna to nie tylko
góry i lasy, to również wielki prze-
mysł, potężne porty i w ogóle...
Doprawdy opadała rece. Felietonista
chciał, by „Orbis” ściał tury-
tów do naszego kraju widokiem za-
tłoczonych miast i setką buchają-
cych dymem kominów. Trzeba się
absolutnie nie orientować w pra-
dach, które wieja, by coś takiego
napisać. Przecież tenże „New York
Herald Tribune” zamieścił rekla-
mową wkładkę o Bawarii. Myśli kto,
że Niemcy pokazali na reprodukowa-
nych tam zdjęciach potęgę prze-
mysłową swego kraju? Że pokazali
małeńki choćby browar, z których
Bawaria przecież słynie? Figa.
Jeszcze na głowę nie upadli. Ba-
waria wyloniła się z gazetowego

ogłoszenia jako kraj na pół zaco-
fany, pełen gór, lasów, starych i
dziwnych wiosek, kościołów dREW-
nianych, przydrożnych szynków i
pięknych dzieł w strojach ludo-
wych. I tak być powinno. O tym
wie każdy, kto choć pobieżnie
zerknął się z problemem turytyki.
Przecież turyta ma fabryk po uszy
w swym własnym kraju. Chce uciec
od smrodu, zaduchu i tłoku. Ma
dość spalin i dymu. Widok huty
tylko go mierz i denerwuje.
Współczesna turytyka jest funkcją
relaksu, wypoczynku a nie funkcją
ekonomicznych studiów nad rozwo-
jem przemysłu w poszczególnych
krajach.

Dlatego też Francuzi zdecydowali
się nawet na wybudowanie średnio-
wiecznego miasteczka. Palmyrosa
jest czymś niepowtarzalnym, czego
nigdzie indziej nikt nie zobaczy.

Przyjeżdżajcie do Palmyrosy.

Soyez bienvenus en Pologne —
głoszą prospekty reklamowe na
dworcach Europy zachodniej. Po-
wie ktoś — z czym do gościa? Zaw-
sze będziemy mieć ujemne saldo w
turytyce. Zawsze więcej Polaków
będzie latem uciekać do Bułgarii i
Węgier, niż przyjeżdżać do nas cu-
doziemców. A już na dolarowych
gości lepiej nie liczyć. To ludzie
wygodni, rozkapryśzeni. Szukają
luksusów, a nas jeszcze nie stać na
luksusy. Mamy inne potrzeby.
Wszystko to prawda — dodają inni
pesymisci. Niektóre kraje traktują
turytykę jako działalność produk-
cyjną i odpowiednio w nią inwestu-
ją. My jesteśmy dalecy od tego. I
słusznie. Bo u nas klimat nie ten.
Po wtóre — uroki krajobrazu nie mo-
gą się równać nawet z Czechosłow-
acją. Tylko nad samym Bałtykiem
jest coś do obejrzenia, można tam
nogi wymoczyć w chłodnym morzu,
potem długo nie, tylko beznadziejna
równina i dopiero w Tatrach jest
na czym wzrok zawiesić. Dla tury-
ty to stanowczo za mało.

Wreszcie ten prymityw.

W małych miasteczkach w ogóle
nie ma przyzwoitych hoteli, a w du-
żych są one nieprzyzwoicie przepeł-
nione.

Rozumowanie brzmi logicznie. Jest
też realistycznym spojrzeniem na
nasze możliwości. Ma jednak pewne
luki, nawet istotne. Pomija zasad-
niczy fakt, że pewien prymityw, al-
bo inaczej, względnie zacołanie, w
niektórych wypadkach niejako auto-
matycznie procentuje i przynosi dy-
widendy. W przemyśle na pewno
nie. W turytyce na pewno tak.
Francuzi musieli dopiero zbudować
prymitywną wiochę. Musieli jej
mieszkańców ubrać w ludowe stroje
szyte notabene przez krawców w
pobliskim Bordeaux. My takich wło-
sek mamy na kopy. Myśli kto, że na
Boże Ciało przyjeżdżają do Łowicza
tysiące turytów z różnych prze-
ciół krajów ze względów religijnych?
Nonsens. Przyjeżdżają dla egzotyki
samego obrzędu. Po to wala do Ło-
wicza wszystkimi drogami, żeby
przyrzec się z bliska chłopsztwu,
jakiego w uprzedmiotowionych kra-
jach Zachodu dawno już nie ma.
Chłopsztwu, które nosi oryginalne
stroje ludowe, żyje w misternie
rzeźbionych chatkach i gra na instru-
mentach zupełnie już gdzie indziej
nie znanych.

Huty są wszędzie, nawet większe
jak u nas.

Ale gdzie jest taka ludowa kapela
jak w Łowiczu?

Gdzie są tak ładne pod względem
architektonicznym domostwa, takie
żurawie, tacy mistrzowie ceramicz-
nej sztuki, takie tradycje i obyca-
je, którym wciąż się dochowuje

wierności jak w Bolimowie. Złako-
wi i Chruszynie? Wszystkie te wio-
ki, gdyby o nie zadbać, mogłyby
jeszcze długo pozostać naturalnymi
szkansenami, rodzajem muzealnego
zabytku. Jeszcze nim są. Jeszcze by
mogły ścigać liczne rzesze tury-
tów. Wszystkie te wioski mają szansę.
Moga, jak Łowicz w Boże Ciało,
stać się magnesem, który przycią-
gnie niejednego obłąkaniwa, szuka-
jącego nowych wrażeń.

Może by więc choć jedna z tych
starych, stylowych wiosek łowickich
uchronić od zagłady?

Może by chociaż Bolimów prze-
kształcić w naszą Palmyrosę?

Tym bardziej, że z Warszawy do
Bolimowa droga krótka i prosta,
zaś przez pobliskie Kutno przeje-
żdżają tysiące zmotoryzowanych tu-
rytów tranzytem do Związku Ra-
dzieckiego. Sirecą do Bolimowa tak
jak skrocają we Francji do Palmy-
rosy, tylko musi się im to opłacać.
Zapłać, tylko muszą wiedzieć za co.
Tuż koło Bolimowa leży Niebo-
rów, leży Arkadia, cały wielki ośro-
dek turytyczny mógłby tu w przy-
szłości powstać. Turytyka też jest
przemysłem, jeszcze jakim. Jednej
tylko Austrii synpela w tym roku
setkami milionów dolarów. To taki
przemysł bez kominów, który na
tym polega, by pokazać cudzoziem-
com co w kraju najbardziej oryginal-
ne, niepowtarzalne, słowem egzotyczne.

Bolimów to perla prawdziwa, a
nie szluczna.



Badylarz na cenzurowanym

Dalszy ciąg ze str. 1

wybredza, marszczy się i często gesto coś
z towaru na odpady wyrzuca. Lecz niech
tylko drzwi z trzaskiem się rozewrą, niech
z nich wyjdzie krokiem godnym, stanow-
czym, facet okazany — ów surowy urzędnik
miękkie, łagodnie, w kornym skłonie się
gnie i z daleka woła przypochlebnie:

— Szanowanie dla drogiego pana!

Szanowny pan zapewne kwiatki życzył
upłynić? Proszę bardzo!

Szanowny pan pewnie mija szara kole-
kę. Głównie wysoko niesie, z politowaniem
na czekających spoziera: dumnie przeży
piers, koszuła za dziewięć stów opięta, razi
oko błyskiem „gangu” z lśniącej materii.
Urzędnik już jest przy nim, a on dłoń mu
łaskawie podaje, na bok, w mroczny katek
odwodzi. Poufnie se poszeptują, tajemniczo

nachyleni; ręka „szanownego” koło górnej
kieszeni marynarki gmera. Potem wycho-
dzi, z nareczami kwiatów wraca i wprost
do magazynu wali. Już towar sprzedają —
bez oporu, bez grymasów i wybrzydzań.
Gdy nawet kwiatu — hurtownia w pierw-
szej kolejności od badylarza przyjmuje. On
ma kontraktację, ma prawo! Uspokojone
ogrodnictwo też kontraktuje, ale jego przed-
stawiciel szaro jest odzian i brak mu „flo-
ty” na reprezentację. Ponadto — zakład
państwowy limit na dostawę otrzymuje, od
górny limit — jakże więc czoła stawia przy-
waciarzowi, który wolna reka gospodarzy?
A kiedy nawet dla badylarza miejsca w
łódzkiej hurtowni nie stanie — od czego
owe śmigłe ople i mercedesy? W trzy go-
dziny do Katowic zapruje, gdzie hurtowni
brak i gdzie kwaciarnie na własną rękę
zaopatrują się w towar. Tutaj można po-
handlować. Badylarz jest przebiegły, chy-
try, i pod sklep z hukiem nie podjeżdża.
Z daleka staje, niewielką wiazkę niesie, tar-
guje się zawzięcie, dobra cenę wyduśza. W
taki sposób dokonuje transakcji w innych
punktach miasta. Kiedy zaś nieźle zarobi
i czasu zbędnego mu starczy — podkoczycy
sobie wozem w wielki świat: do Zakopan-
ego wpadnie, przedni obiad skonsument, za
lejszą rozrywką się obejrzę, by mieć w
Łodzi co opowiadać.

2.

Przed pięciu laty była najlepsza koniunk-
tura w ogrodnictwym światku. Obecnie spa-
da gwałtownie, a w tym roku — klapa z
pomidorami na całej linii! Przyczyna za-
istniałej sytuacji jest między innymi... do-
broliwosc państwa! Państwo daje początku-
jącym badylarzom kredyty na rozbudowę.
Kredyt na sześć lat, przy czym w ciągu
trzech lat ogrodnik nie płaci podatków od
szklarni. Jeśli to jest dobry fachowiec — w
ciągu pierwszego roku wyciągnie na swoją
korzyść sumę równą uzyskanemu kredyto-

wi. Potem, choć nawet kupe forsy posiada
— prosi o dalsze pożyczki. Buduje się szklar-
nie z wielkim rozmachem, z hukiem i za-
pamiętaniem; strzelają w niebo dwupiętro-
we łączniki szklarniowe i kominy kotłowni,
już nie na węgiel nawet, lecz na olej
gazowy. W zaślepieniu rywalizacji, w szale-
nym podzie tworzy się przedsiębiorstwa,
dla których w końcu rynku zbytu nie staje.
W podłódzkie miejscowości przybywają ludzie
z Polski północnej, bez zielonego pojęcia o
ogrodnictwie, lecz z kupą forsy w kieszeni.
Jedna z takich pań trzy miliony wyrzuciła
na budowę szklarnianego obiektu. Teraz in-
teres stoi, dochodu niewiele przysparza. Wła-
ścicielka poszukuje ogrodnika fachowca,
trzy i pół tysiąca pensji obiecuje. Poniekto-
rzy zaś, czując pismo nosem, wybawiają z
podłódzkich terenów. Niedawno facet
upchnął gospodarstwo za 800 tys. i do Za-
kopanego wyjechał. Poszła za nim fama, ja-
koby w miejscowości czasowej złoty inte-
resik na ogrodnictwie kreślił. Nieprawda!
W Zakopanem klimat nie sprzyja ogrodn-
czym uprawom — on tam najwyższej restau-
racji otworzył. Już i goździk, kwiat naj-
bardziej pożywny i trwały, stracił rynek,
gdź wszyscy rzucili się na jego uprawę.
Tulpanem też ogrodnik nie uciechy oka
klienta — importowe, holenderskie cebule
coraz trudniejsze do nabycia: 200 proc. cła
na nie nałożono. Nie sztuka jest kwiat wy-
produkować — trzeba umieć go sprzedać.
Najlepiej prosperuje ten, kto własny
sklep posiada. W dniu popularniejszych
imienin w kwaciarni bez przerwy koleśka
sterczy i grube tysiące w kieszeni właście-
ciela zostają.

Sa badylarze tak silni i możni, którym
żadna koniunktura nie zagrazi. To ci, co
mają tzw. łeb i kombinować potrafia; któ-
rzy są urodzonymi ogrodnikami. Do nich
niewątpliwie należy największy chyba w
Polsce biznesmen: badylarz kaliski, który
choć z dala od Łodzi — z Łodzi pośrednio
jest powiązany. Siedmioro dzieci posiada
i wszyscy w ogrodnictwie pracują. Zięcio-

wie i synowe szkola się wytrwale w bady-
larskiej branży. Nad gospodarstwem góruje
komin, bagatela, równy łódzkiej elektrocie-
powni, a kotły leżą sobie dwa pietra wy-
sokości. To jest wielki, nowoczesny kombi-
nat, którym kieruje jeden człowiek. Trzy
miliony kosztował hotel dla pracowników.
W hotelu obsługa znakomita, telewizor na-
wet się znajduje. Specjalnie zatrudnieni
wychowawcy uskuteczniają pogadanki dla
sezonowych dziewcząt. Właściciel produkuje
dla państwa, a produkuje nasiona. I tak,
dla przykładu, kilka danych podam: rośnie
tu 15 ha cebuli nasiennej, 4 ha takiej że ka-
pusty czy 2 ha rzodkiewki. Dziewczynę
otrzymują pięć złotych na godzinę, lecz po
pracy dorabiają na tzw. plantierkach. By
nie być zbyt wielkim podatkiem obciążo-
nym, przedsiębiorca gospodarstwo między
członków rodziny rozpisuje. U tego kal-
skiego badylarza nie się nie zmarnuje —
chyba że klasa żywiłowa najdzie urawny.
On dostanie pierwszy wybór dzieciak róż-
ny, cały hektar ziemi obsadzi, by potem tysią-
ce dorodnych krzewów zebrać. Jego ziem-
niaki idą na eksport. Na eksport idzie rów-
nież kapusta brukselska, a głąby — tak,
głąby — miele się na śliczki. Oni to dosko-
nala pasza dla krów. Taki też bywa profil
badylarza! Mam na tym przykładzie kilka
gotowych refleksji. Po pierwsze — dobrego
gospodarowania i wzorowej produkcji mo-
głoby się w Kaliszu uczyć niejedno uspo-
kożone ogrodnictwo. Po drugie — stosu-
jąc w budowie socjalizmu swego rodzaju
NEP-owska politykę — doczekaliśmy się
własnych, polskich milionerów.

3.

„Co badylarz robi z tysiącami forsy?” —
to chyba najciekawsze pytanie, jakie zada-
nie sobie przeciętny obywatel. Postaram się
na nie odpowiedzieć, choć zapewne rozczu-
rę czytelnika. Podnosząca się sprawność

Sędzia ludowy

Dalszy ciąg ze str. 1

przecież o to właśnie chodzi. Sędzia zawodowy ma o wiele słabszy kontakt ze społeczeństwem i dlatego może mieć wykrzywione pojęcie o pewnych zjawiskach. Natomiast sędziów, którzy żyją w społeczeństwie na co dzień, jest lepiej zorientowany w zjawiskach i potrzebach społecznych i jego głos jest bardzo ważny, jeśli poprzez wymiar sprawiedliwości mamy nie tylko karać, ale i zapobiegać przestępstwom. Dlatego wybieramy sędziów w zakładach pracy. Mają oni być pomocnikami sędziów w tym sensie, że przenoszą potrzeby i doświadczenia społeczne do sądu. Oczywiście zawsze istnieje niebezpieczeństwo poddania się także złym wpływom otoczenia, ale to już całkiem odrębne zagadnienie. Odpowiedni dobór ludzi, przed sądownictwem ludowym, społecznym, widzę ogromne perspektywy.

KONRAD FREJDLICH: Jeśli dobrze zrozumiałem, rola sędziego w wymiarze sprawiedliwości będzie jeszcze wzrastać. A więc właściwy dobór sędziów jest zagadnieniem nie tylko technicznym; to właśnie klucz do prawidłowego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości.

IRENA LASS-BALCZAREK: Odpowiedni dobór i wyszkolenie sędziów. Początkowo, w momencie gdy instytucja sędziów dopiero się narodziła, udział czynnika społecznego był ograniczony do spraw o oczywistym ciężarze polityczno-społecznym. Wówczas na sędziów typowano ludzi, którzy dawali gwarancję pełnego zaangażowania politycznego, ludzi, którzy potrafili ocenić wagę polityczną danego przestępstwa. Z chwilą wprowadzenia powszechnego udziału sędziów w wymiarze sprawiedliwości, kryteria doboru zmieniły się, i chyba słusznie. Wymagamy dziś, aby sędziów, obok walorów społeczno-politycznych, miał także wiedzę fachową, aby mógł służyć pomocą w konkretnych sprawach. Nie chodzi tu o przygotowanie prawnicze. Prawo jest nieczym innym, jak zapisana norma moralna, a sędziów powinni rozstrzygać, czy czyn, który ma osądzić, stoi w sprzeczności z naszymi pojęciami moralnymi, czy też jest z nimi zgodny. Jeśli jest to czyn sprzeczny z poczuciem moralnym, czyn przestępny, sędziów zawodowych odpowiedzialny jest za znalezienie odpowiedniej normy pisanej, sędziów społecznych przyjdzie tu sędziemu z pomocą. Bo jesteśmy jeszcze na tym etapie, że wydając wyrok musimy podać kwalifikację prawną, ale kiedy sądy społeczne staną się naprawdę powszechne, nie będziemy używać żadnych artykułów z kodeksu. Sędziów musi się jednak orientować, co to jest wina, co to jest kara i dlatego prowadzą szkolenie, co kwartał odbywają się narady sędziowsko-lawnicze, na których omawiamy przepisy prawne dotyczące winy, kary, ustaleń pojęć: ustalania ojcostwa, co to jest rozkład pożycia małżeńskiego. Teraz w kampanii wyborczej ustalono jest z góry, ilu ma być techników, pedagogów (bo w postępowaniu z nieletnimi potrzebni są ludzie, którzy znają metody wychowawcze), specjalistów na przykład z dziedziny bhp, ekonomistów, orientujących się w organizacji przedsiębiorstwa. Bardzo chętnie widzimy wśród sędziów kobiety, które są bardzo przydatne w rozpoznawaniu takich spraw, jak rozwody, sprawy alimentacyjne, ustalanie ojcostwa. Chcemy więc mieć sędziów fachowców, ale to nie może być, oczywiście, przesady. Sędziów powinni być ludzie, którzy będą wpływać na kształtowanie się pojęć praworządności ludowej w ich otoczeniu, ludźmi z autorytetem, cieszącymi się szacunkiem i zaangażowanymi w tym, co dzieje się u nas w Polsce.

ADOLF CAPE: Fachowość także nie jest bez znaczenia. Często znajomość księgowości, kontroli, organizacji przedsiębiorstwa może być bardzo przydatna na przykład w sprawach afer gospodarczych. Kiedy sędziów, okazał się bardzo pomocny przy ustalaniu źródeł przestępstwa. Zapobieganie wielkim aferom gospodarczym to ważna sprawa, a my, sędziów, w toku rozprawy wywołujemy różne doświadczenia. Kiedyś z sędzią Spiewakiem sporządziliśmy wnioski dla KŁ PZPR w sprawie zapobiegania tego rodzaju przestępstwom. W oparciu o te materiały przeprowadzono cały szereg zmian na stanowiskach kierowniczych.

EUGENIUSZ BAWOROWSKI: Badacze nie ukrywają, że sędziemu zawodowemu grozi pewna typizacja, rutynizowanie. I czynnik społeczny, sędziów, wnosi jakiś zdrowy element ze środowiska społecznego. Relacja: sędziów zawodowy z jednej strony, z drugiej zaś czynnik społeczny, w której wszyscy są współdecydującymi — stanowi, moim zdaniem, jakąś idealną równowagę. I to jest właśnie przeciwwaga dla rutynizacji.

ZBIGNIEW NIENACKI: Dyskusja nasza będzie ciekawsza, jeśli wskażemy na braki i na zjawiska dodatnie, jakie sędziów już wniesli do wymiaru sprawiedliwości. Z praktyki naszego sądownictwa nasuwa się cały szereg problemów, które powinny być rozwiązane. Chciałbym zacząć od sprawy fachowości. Jestem wielbicielem fachowości we wszystkich dziedzinach życia, ale jeśli chodzi o wymiar sprawiedliwości, to w tym charakterze najlepiej czuję się tam biegli. Sędziów zaś powinna cechować nie tyle fachowość, ile głębokie morale, wielkie serce, znajomość życia. Czasem sędziemu zawodowemu brak zrozumienia ducha prawa, zna on tylko literę prawa. Ducha prawa powinien strzec właśnie sędziów ludowych. Ale jaka jest praktyka? Byłem sędzią podczas jednej kadencji, jako pisarz interesowały mnie sprawy moralne, ogólnoludzkie, związane z sadzeniem jednego człowieka przez drugiego. I gdy przyglądałem się działaniu wymiaru sprawiedliwości, uderzyło mnie, że w najważniejszych procesach sędziów ma przeważnie ludzie bardzo starzy. W większości sędziów, emeryci. Sądowi bardzo wygodnie jest zatrudniać w długich, poważnych rozprawach sędziów, z którymi nie ma kłopotu w związku ze zwalnianiem ich z pracy. A więc sędziów w tego rodzaju procesach najczęściej są ludzie, którzy zostali już wyłączeni z życia produkcyjnego. Jeśli jednak nie mogą oni pełnić już funkcji dyktatorów, kierowników czy księgowych, jeśli nie mają już zdolności psychofizycznych do pełnienia funkcji produkcyjnych, czy mogą właściwie pełnić tak odpowiedzialną funkcję jak wymierzanie sprawiedliwości? Rozumiem, oczywiście, skąd się to bierze: tożsakość nie zawsze będzie mógł zwolnić się z pracy, by uczestniczyć w rozprawie, ale emeryci zawsze punktualnie przyjdzie do sądu. Dlatego też w sądzie istnieje tendencja do „żelaznej grupy” sędziów-emerytów, którzy są na każde zawołanie. I to jest bardzo niedobre. Ci ludzie mają najlepsze chęci, ale widzą sprawy nieowocześnie, mają przytępią wrażliwość. Patrzą kategoriami sprzed 20-30 lat, nie mają „ostrego spojrzenia” człowieka młodego, zaangażowanego w życie współczesne. Ci ludzie nie nadają się do rozstrzygania w sprawach związanych z nową obywatelnością, takich na przykład, jak rozkład rodziny. Brak im nowej krwi ludzi zaangażowanych we współczesność. A teraz sprawa druga: stosunek sędziów zawodowych do sędziów społecznych. Ten stosunek nie wyglądał, przynajmniej w moich czasach, najlepiej. Sędziowie lubią sędziów biernych; aktywni, inteligentni są im niechętni. Sędziowie zawodowi cierpią przez tego, że mają tylko jeden głos, a sędziów jest dwóch. Trudno mi analizować wszystkie przyczyny tego konfliktu, ale istnieje on na pewno.

IRENA LASS-BALCZAREK: To, co pan powiedział, jest na pewno aktualne, ale zostało prześkrabane i chyba celowo, żeby wywołać reakcję. Jeśli chodzi o sędziów-emerytów, trzeba się zgodzić, że są wybierani z myślą o długich procesach, bo w sądach ogólnopństwowych przemawiają za tym, aby nie odrywać ludzi z produkcji na długie tygodnie. Ale nie można generalizować, nie można przekraczać zdolności fizyczno-psychicznych sędziów-emerytów, są wśród nich ludzie bardzo sprawni umysłowo, którzy wiele dają z siebie. Poza tym nie zapominajmy, że starsi sędziowie mają ogromne doświadczenie życiowe. Wreszcie sędziowie-emeryci stanowią mniejszą część wszystkich sędziów.

ZBIGNIEW NIENACKI: Dlaczego więc sędziów musi w pewnym wieku odejść na emeryturę, a dla sędziów nie ma praktycznie żadnej granicy wieku?

EUGENIUSZ BAWOROWSKI: To nowy wynalazek. Dawniej dla sędziów nie było również granicy wieku, tak samo jak i dla sędziów. Trzeba było wprowadzić te rozwiązania, aby zwolnić miejsca dla nowych ludzi, dla nowej kadry prawnych.

ADOLF CAPE: Co mi się rzuca w oczy: stanowisko starszych w pewnych sprawach różni się od stanowisk młodszych. Trzeba więc umieć połączyć doświadczenia ludzi starszych z zapalem młodych. We wszystkich dziedzinach, także w dziedzinie moralnej. I to chyba dobrze, że obok młodego sędziów występuje starszy, bardziej doświadczony.

KONRAD FREJDLICH: Owszem, ale ci starsi nie powinni być w przewadze.

ADOLF CAPE: Takiej przewagi nie ma. Nawet wśród adwokatów.

EUGENIUSZ BAWOROWSKI: Jakiś procent sędziów-emerytów jest konieczny ze względów technicznych i bardziej zasadniczych. Jak się pracuje z sędziówkami? To zagadnienie bardzo złożone. I współpraca z sędziówkami na sesji, i samo omówienie wyników całego procesu i wysublimowanie dozwolone, jest procesem bardzo złożonym. Niełatwo jest z sędziówkami-emerytkami dobrze mi się pracuje. I to nie jest frazeologizm. Chodzi zwłaszcza o pewne kwestie, których ja nie znam, szczególnie, gdy ma się do czynienia z oskarżonymi w starszym wieku. Po prostu nie znam ich specyfiki myślenia, dlatego starszy sędziów jest mi wielką pomocą. Warto przypomnieć, że w Instytucie Nauk Prawnych PAN prowadzono zakrojone na szeroką skalę badania instytucji sędziów. 70 proc. sędziów zawodowych wypowiedziało się pozytywnie za wprowadzeniem sędziówkami.

IRENA LASS-BALCZAREK: Ja chcę wrócić do tego, co mówił pan Nienacki: że sędziowie nie lubią sędziówkami intelektualnych. To zupełnie ludzkie, że nie lubimy osób górujących nad nami inteligencją albo wiedzą. Może się także zdarzyć, że sędziów jest zbyt gorliwy i stawia pytania nieudolnie, często pytania zbędne. I to, obiektywnie biorąc, utrudnia bieg rozprawy. I w tym wypadku niechęć sędziów jest uzasadniona. Druga prawda: nie wszyscy sędziowie są idealni i nie wszyscy sędziówkami są idealne. Dobór sędziów jest łatwiejszy, bo to jest sprawa administracji i kwestia obserwacji. Z sędziówkami jest gorzej. Nawet ten nowy system wyboru sędziów nie daje również pełnej gwarancji wyboru właściwych ludzi na sędziów. Obiektywnie trzeba stwierdzić, że kadra sędziów z każdej kadencji jest coraz lepsza. Ale nie jest to wynikiem lepszej organizacji wyborów, lecz po prostu dorastanie społeczeństwa. Kiedyś sędziówkami byli typowani przez organizacje i instytucje. Dziś kandydatów na sędziów wybierają zakłady pracy i instytucje. W tym systemie mogą się znaleźć przemyślni ludzie, którzy nie powinni pełnić tej funkcji. Dlaczego? Bo sędziów w zakładzie pracy to uciążliwa osoba. Bo jeśli ustawowo 12 razy w ciągu roku musi uczestniczyć w rozprawach sądowych, dyktacje zakładów typują ludzi, których wyjdzie do sądu będzie najmniejszą stratą dla zakładu. I chyba poprzedni sposób typowania był lepszy, bo wtedy za właściwy wybór odpowiadały te organizacje, które wytypowały kandydata. Dziś zakłady pracy zmuszają się do odpowiedzialności mówiąc, że sędziów wybrała załoga.

ZBIGNIEW NIENACKI: Zakłady pracy to nie cała Polska. Tak na przykład, w Łodzi ani środowiska dziennikarskie ani literackie, ani intelektualne nie wybierają swoich kandydatów.

KONRAD FREJDLICH: Dlaczego zmienił poprzedni system wybierania sędziów?

IRENA LASS-BALCZAREK: Chcieliśmy, żeby w wyborze kandydatów brało udział całe społeczeństwo. Założenie jest słuszne, ale wykonanie nie najlepsze, bo wokół wyborów trzeba stworzyć odpowiednią atmosferę.

ZBIGNIEW NIENACKI: Uważam, że należałoby ogłaszać w gazetach listy kandydatów na sędziów z prośbą o wypowiedzenie się, zaadresowaną do całego społeczeństwa.

IRENA LASS-BALCZAREK: To prawda, że prasa powinna żyć tym zagadnieniem, bo jakich będziemy mieli sędziów, taki będzie wymiar sprawiedliwości. Przecież to jest wybór ludzi do najwyższej władzy państwowej, do władzy sądowniczej, władzy orzekającej w imieniu PRL, której zadaniem jest organ nie posiada. To sprawa bardzo poważna, a my wybieramy sędziów dosyć beztrosko. Należałoby rozpocząć akcję uświadamiającą wśród społeczeństwa, uprzytomnić ludziom, jak ważną funkcję pełni sędziów.

ZBIGNIEW NIENACKI: Mnie również wydaje się, że nasze społeczeństwo nie zna roli sędziów.

KONRAD FREJDLICH: A czy sami sędziów zdają sobie sprawę z wielkości i ważności swojej funkcji?

IRENA LASS-BALCZAREK: To kwestia osób, ludzi. Jeśli jest to sędziów z prawdziwego zdarzenia zdaje on sobie doskonale sprawę ze swojej funkcji, z odpowiedzialności, jaką na nim ciąży. Ale generalizując, mimo wszystko skład sędziów nie jest najgorszy. Znam sędziów, którzy przeżyli bardzo poważne sądy i wyroki i niejednokrotnie interesują się losami swoich orzeczeń.

ZBIGNIEW NIENACKI: Ja brałem udział w paru poważnych kryminalnych sprawach i stwierdziłem, że ci ludzie, z którymi wspólnie współsądziliśmy — przemawiali nie tylko sprawami. Panowała tam atmosfera głębokiej powagi, głębokiego zaangażowania.

IRENA LASS-BALCZAREK: Chodzi o to, że sędziów w zakładzie pracy, w swoim środowisku jest osamotniony. Sędziów jako reprezentant społeczeństwa.

ZBIGNIEW NIENACKI: Sędziów jest także osamotniony wydając wyrok. Jest temu niekiedy winna i prasa, która rozhuśtuje opinie publiczną, nie zawsze znając dokładnie sprawę. A potem wyrok budzi rozczarowanie. I wtedy sędziów pozostaje osamotniony, wszyscy mają do niego pretensje.

KONRAD FREJDLICH: Temu osamotnieniu można się przeciwstawić. Chciałbym więc zapytać w jakim stopniu sędziów swoje doświadczenia z sądu przenoszą do środowiska, ażeby, powiedzmy, podnosić stan świadomości prawnej?

IRENA LASS-BALCZAREK: Jeżeli społeczeństwo będzie rozumiało, kim jest sędziów, to nie zostawi go w osamotnieniu. Jeżeli się pisze o radach, o bankach, o innych instytucjach, dlaczego nie pisze się o sędziach.

EUGENIUSZ BAWOROWSKI: Niemalże zanikła u nas sprawczość sądowna.

IRENA LASS-BALCZAREK: Jeżeli o nas nie piszą źle, to mamy prawo sądzić, że w sądownictwie jest dobrze.

KONRAD FREJDLICH: I tak, proszę państwa, w najciekawszym miejscu przychodzi nam urwać naszą dyskusję o sędziach. Chciałbym, w imieniu redakcji, serdecznie podziękować wszystkim za rzetelny udział w tym spotkaniu. Wyrażam też nadzieję, że stenogram naszych rozmów, który częściowo przynajmniej opublikujemy, nie będzie ostatnim w naszej prasie materiałem, który weźmie sobie za cel doprowadzenie do świadomości społecznej ciężaru gatunkowego funkcji, jaką w naszym wymiarze sprawiedliwości spełniają sędziowie ludowi.

milieji sprawiła, iż coraz częściej wykupuje się złoto i dolary spod krzaków w ogródkach badyłarzy. Z nakupionych futer włos poczyną wylazić, a biżuteria leży martwym świecikiem. Pozostaje budowa nowych szklarni, lecz i to nie jest najistotniejsze. Badyłarz wraca do pierwotności — do ziemi. Ziemia nie niszczy i nie straci wartości — ziemia rodząca pozostanie. Kupuje się więc po kilkanaście hektarów w różnych miejscowościach, członków rodziny lub obcych na dzierżawie osadza. Badyłarz sa ludźmi nieufnymi i chytrymi. Do tego stopnia, iż jeden z nich chce sprzedać, czy najmnieć nie za długo nawozić mu szklarnie — wraz z żoną zaprzęga się do łopat i caluska niedziele nawoził. Bywa, że ogrodnik do grobu zabiera tajemnicę uprawy jakiejś rośliny.

Ci z młodszego pokolenia nienawidzą się wprost. Jeśli się spotykają wspólnie, to jedynie na dorocznym zjeździe ogrodników. Przybywają, by przeciwstawić zmiażdżone wspaniałym samochodem, świetnością gali zaćmić. A największą zawiść króluje wśród ich żon: o piękniejsze szpilki i koleżki idzie, o futro i fryzurę doskonalszą. Były czasy, że w nastrojowym, buduarowym świetle, na stolikach tańczyły dziewczyny swój taniec upodlenia, z przyklejonymi śliną do uda banknotem. Było też niegdyś przywołanie papierosa pięćsetzłotowym papierkiem, lecz to do legendy trza wciągnąć, gdyż biznesowi wrocznie lubią sobie wzajemnie opinie nadzarywać. Zdarza się na wielkiej zabawie, iż badyłarz rzuci słowo orkiestrze, że w obstręgu kłajpce kelterne za obsługę czekolada obdaruje. Pieniądz demoralizuje, do przygody ciągnie. Jeden z badyłarzy, któremu sześćdziesiątka stuknęła, żonę z sześciorgiem dzieci zostawił i grubą łafiryndę w pięknym wozie ugaszcza. Okoliczni śmieją się, że on se ja może... powozić aby.

Ich dzieci, badyłarzy, często w ogrodnictwie pozostają. Większość jednak w innym

kierunku się kształci. Przy wstępie do szkoły czy na wyższą uczelnię ze wstydem podają zawód ojca. Bo czyż jest badyłarz inteligentem? Ogromna większość legitymuje się pełnym lub niepełnym wykształceniem podstawowym. Nie są ludźmi intelektu — są ludźmi interesu.

Ustawiczna gonitwa za forsa wyklucza z ich życia książkę lub inną rozrywkę kulturalną. Ich opere i teatr najczęściej stanowią knajpa: tu załatwiają interesy, gdyż w Polsce bez oparcia sprawy o bufet — ani rusz.

Dziś różnice stanowe w niwecz się obróciły i żadna miara wysokości urodzenia się nie mierzy. Badyłarz współczesny pozbawiony jest problemów Stasia Wokulskiego, iż go ludzie będą odrzucać, w swe szeregi nie przyjmą. Ludzie łasi sa na gest szeroki, na mignięcie kolorowym papierkiem. Po stoście banknotów wspina się badyłarz na szczyt tzw. elity towarzyskiej, gdzie go bez obrotów przyjmują. Z czasem on tam przewodzi zacznie. Wśród ludzi z wykształceniem obcy i kultury niebo nabiera. Kąpie manier dobrych se przysposobi, płoteczki ze świata artystycznego się nasłucha. Z braku pokory, duma bogactwa nadetv — do kawiarni, do „towarzystwa” wkracza. A że stać go, więc ów pseudo-inteligent przez czysty snobizm i do teatru kiedyś się wybierze. A stać go — ogrodnikowi pięć tysięcy miesięcznie płaci, mieszkanie i opał też daje. Środowisko ma swój wpływ na człowieka, zwłaszcza w latach szczeniowych. Jeśli ten wpływ zostanie ugruntowany i jeśli postawy ludzkiej szkoła lub samokształcenie nie zmieni — to badyłarz zostanie badyłarzem.

RYSZARD BINKOWSKI



TURNIEJ JEDNEGO WIERSZA

W październiku b.r. w Kole Młodych przy Związku Literatów Polskich (Oddział w Łodzi) odbył się wieczór literacko-muzyczny poświęcony dziesiątej rocznicy śmierci Andrzeja Bursy. Wiersze tragicznie zmarłego poety recytowała na tle muzyki Strawińskiego i Lutosławskiego — K. Piaseczna. Na zakończenie wieczoru odbył się turniej jednego wiersza, w którym uczestniczyli młodzi poeci łódzcy. Jury w składzie: B. Gołębiowska, R. Łoboda, M. Piechal (przewodniczący), J. Poradecki, H. Pustkowski, S. Swiontek — przyznało nagrody następującym poetom: I — Lucynie Skompskiej (za wiersz „Moja chronometria”), II — Andrzejowi Biskupskiemu (za wiersz „Czyny nasze”), III — Januszowi Królikowskiemu (za wiersz „Wznoszę się pelzaniem”).

LUCYNA SKOMPSKA

Moja chronometria

solą dochodzimy do początków morza

to tak jak widzisz węgiel
a myślisz o drzewie
i mówisz o płakach
które w nim śpiewały

w dzieciństwie radość
że żyję z rzeczami
i wśród przedmiotów martwych
leżą całe lata

połem człowiek pierwotny
co z rzeczami gadał

a teraz w osiemnastym roku
jestem już planeta zamieszkała

dlatego tępie słowa
które we mnie żyją
być może to milczenie
jest forma statyczna: trwania i dojrzewania
czy też milczenie to słowa
które już umarły

sama jestem dla siebie teraz geometria
z której się wymierzać i wyliczać muszę

wciąż rodzić się od nowa
i zapamiętywać
— to jest człowiek
tak jak morze — skazany na siebie

ANDRZEJ BISKUPSKI

Czyny nasze

troisz się o ciało swoje
którego zabrać tobie ani ocalić potrafisz

odprawuj święto swoje nabożne bo samotne
zanim cię znowu nie stłoczą w gromady
czuj się bezpiecznie — albowiem władcy bogowie i teherze
gotują za ciebie twoje wyzwolenie

tylko nie myśl o mnie jako o bracie dalekim
półki odnajdę siebie w twoich czynach daremnych

dziś ledwo widzę ciebie — że ani słowa powiedzieć...

tylko nie wiem dlaczego widzę twój cień nad kartą
i widzę jak on głową bije w mur którego nie ma

czekam aż ci podadzą twój jedyny znak:
garnek w który bębniusz nieustannie... okrutnie...

JANUSZ KRÓLIKOWSKI

Wznoszę się pelzaniem

Wznoszę się pelzaniem — ponad ciemny obszar
Wszystkiego, co we mnie ludzkie i fałszywe.
Wznoszę się jak robak myślicy — bez nóg
Jak świadomość kleski, która jest więzieniem

Ten, co zamiast wiersza pisał na mnie wyrok,
— aktując przestępstwa swoje i znajomych
Jako moja winę — chociaż mnie poniżył
— Zapomniał, że wkrótce zrówna nas nienawiść

Czasem kamień młyński u szyi topielca
Wciąż także tego, który chciał utopić.

Oto jak bezprawie przemienia człowieka
Z bezsilnej ofiary na kamień wyroczny

Oto jak nienawiść robaka rozpiera
Zeby przed upadkiem miał otwarte oczy.

STANISŁAW KASZYŃSKI

Oborywanie sensu

Mało który z poetów polskich jest tak, jak Stanisław Czernik, konsekwentnie wierny swoim dawnym przemysłom artystycznym, swej teorii i praktyce. Wierność zaiste rzetelna, uparta, wzbudza jąca uznanie. Fenomen to z wielu względów godny odnowienia. Oddanie się dobrowolnie w jasyr jednego widzenia i opisywania świata i rzeczy trwa bowiem już kilka wieków. W okresie obecnym, wśród wstępującej generacji poetów, a nawet wśród części tej, jej tymującej się już publikacjami — i niechym bez mała więcej — daje się zauważyć niby założona antypragmatyczność. Oczywiście, taka postawa ułatwia procesy asymilacyjne, mówiąc prościej, umożliwia zapożyczenia, bez troski przechodzenia od jednej orientacji czy szkoły do innej. Przyczyną powoływania się na „nowoczesność” stało się od pewnego czasu nienadne, lecz jest to raczej wybieg taktyczny, edyż ubieganie się o taką rangę, o taki szmalt, weszło za głębo w krew. Rezultatem owoych „poszukiwań” jest z reguły mizdrzacy się banał, wypowiadany zageszczonym belkotem nieidentyczności, bo niemocy i beztalencie.

Czytając nowy porzec wierszy Czernika z wybitym w tytule oznaczeniem „rodzajowości”, mimo woj przypomniała się odeszła tymczasem w historii przygoda polskich autentystów, których właśnie Czernik, wówczas Ostrzeszówianin, był wodzem i teoretykiem. Znał się dobrze z przeciwnymi, w latach późniejszych autentyzm, różnie pojmowany i modyfikowany, odradzał się, to znikał z powierzchni, lecz ostatecznie żył wotność każdej sztuki sprawić, że trzeba na co dzień.

Lektura tomiku wprowadza w sferę starych umiłowanych Czernika, w otoczenie zmienionych, ale w istocie rzeczy tożsamy zapach i dotknięcie, powstających za zbliżaniem się do reżimów, żaw-sze reżimów bądź zjawisk pospółtych, a „odkrywanych” w ich przyrodzonym jakby pleknie, w samym fakcie ich niezniszczalnego, ciągłego istnienia.

U zarania tego kierunku, hasło autentyzmu — „szukanie oparcia w nagim przedmiocie” — dyktował poniekąd instynkt samozachowawczy, zajmowanie takiej pozycji wobec życia wynikało z poczucia zagrożenia, dezintegracji, lecz innego wymiaru, kalibru niż teraźniejsza poczucie totalnej zagłady. Wydaje się, iż świadomość tej odmiennej sytuacji, w jakiej znalazł się noliens volens człowiek współczesny, narzuca inną perspektywę, wprowadza inne miary w odniesieniu do tej twórczości. Inaczej, rzekłbym — silniej odbiera się dzisiaj te Czernikowe fascynacje np. losem bezbronnej przedziórki, wspaniałością drzew rodzinnych, wonią macierzanek i po niej różni.

„Widzę dziś ów kąt woni sprzed pół wieku

I ową linię, linięczkę krzywą,

Zmieniającą się, nieskończenie-
niejącą w swych zmianach.
Wśród brzęczenia os, bąków
i trzmieli” („Styczne”).

I nie żał za utracionym czy rozproszonym przez czas, dzieje, czy roztrąconym przez cywilizację pelżaniem, przedmiotem, tutaj dominuje. Potwierdzając wszelkie pożytki, gładzące z dobrodziejstw czasu (zna też jego i ludzi bestialstwa), poeta pamięcią i wyobraźnią odnawia i rekonstruuje to, co w świetle nie było jakichś doświadczeń człowieczeństwa, zdaje się zachowywać uparcie wdziek, trwałość, sens.

„Dzwonki nie umierają przed czasem.

Wiatr zachorował. Dzisiaj-
szy wiatr

Nie umie poruszać dzwonkami.

Poczekam. Wiatr wyzdrowieje.

Wtedy dopiero pożegnaj skorupę” („Bonza”).

Czekamy. Może ci się przydarzyć „świecenie nawozu”, możesz gdzieś na własnym płaskowyzu odnaleźć „gliniany prapragarnek”. Nabiegł krwią i ciałem ślady własne lub cudze.

*) Stanisław Czernik: „Autentyki”. Lud. Spółdz. Wyd. Warszawa, 1967 r.

JACEK WIERZBIŃSKI

M. J. Kononowicza wybór wierszy z lat trzydziestych

Maciej Józef Kononowicz nie należy do poetów piszących dużo. Jego „Rekonstrukcja biografii”, zawierająca wiersze wybrane i nowe z lat 1936—1966, ma niewiele ponad sto stron druku. Ale też i nie na ilości rzecz się zasadza. Można napisać kilka wierszy i wejść nimi do historii literatury, i można napisać tomy, nie pozostawiające śladu w dziejach poezji polskiej.

Wybór M. J. Kononowicza składa się z czterech części: „Dedykacje rodzinne”, „Rejestracje psychologiczne”, „Z ognia i krwi” oraz „Oblicza Boga”. Ostatnia część składa się z wierszy o treści ściśle religijnej, o których — nie czując się kompetentnym — wypowiadać się nie będę. Z pozostałych części najciekawsze, najbardziej frapujące wyjątki mi się „Dedykacje rodzinne” i „Rejestracje psychologiczne”.

Prawie każdy poeta czuły jest na tzw. mity rodzinne. Z tym, że u jednych przetrza-dają się one w stałą obsesję, u innych — stanowią źródło poszukiwań, pozwalające poe-cie zrekonstruować swój świat emocjonalny. M. J. Kononowicz należy do tej drugiej grupy poetów, dla których rodzina, życie rodzinne są istotnym, żeby nie powiedzieć — podstawowym czyn-nikiem afirmatywnego stosun-

ku do świata. Ciepło tych wierszy, zaduma i refleksja, łagodny liryzm powodują, że czyta się je z przyjemnością, z ową przymieszka do-dolenia, które towarzyszy każdej dojrzalej i świadomej sobie poezji. Wyróżniają się w tej części zwłaszcza „Kołysanka” i „Zonice”.

Jeżeli „Dedykacje rodzinne” wypowiadane są w formach skłasyfikowanych, w oparciu o rymowaną strofę, nie pozbawioną swoistej muzyczności, to w „Rejestracjach psychologicznych” autor ehe-nie eksperymentuje, pozwala sobie na żartobliwy „przekład z obrazu na język”, czego uda-nym przykładem może być wiersz „Szkoła holenderska” lub na igraszki balladowe, na przykład w utworze poświęconym K. I. Gałęzińskiemu (gdzie ten jeszcze żył). Większa panuje tu różnorodność tematy-czna i problemowa, większa też wrażliwość na sprawy poetyckiego języka. Wyodrębniony cykl wierszy stanowią utwory o charakterze patriotycznym i obywatelskim, za-warte w części trzeciej pn. „Z ognia i krwi”. Są to wspomnienia z wojny i po-wstania, pisane po wojnie w wywołanym obozie jenieckim w Lubecie (gdzie autor przebywał), ale także utwory poświęcone ziemiom odzyska-nym, które zafasceynowały poe-tę po jego powrocie do kra-



ju. Szkoda, że tych ostatnich włączył autor tak niewiele do swego wyboru. Przypominam sobie, że wydany przed laty tomik „W ramionach srebrnych rzek” składał się prawie w całości z wierszy, związanych tematycznie z naszymi ziemiami zachodnimi. Dowodzi to, z drugiej strony, że M. J. Kononowicz zastosował w swym wyborze surowe kryteria, co z kolei przemawia na jego korzyść.

Cechą wspólną wierszy Kononowicza, korzystnie wyróżniającą je na tle współczesnej produkcji poetyckiej, jest poczucie odpowiedzialności poety, powaga, z jaką podchodzi on do spraw poezji. M. J. Kononowicz jest „tręciowcem”, dla którego forma waży o tyle o ile potrafi ona

skutecznie służyć przedstawio-nym w wierszu przeżyciom i problemom. Dlatego „Rekonstrukcja biografii” usposabia czytelnika żywiołowo, są w wy-borze M. J. Kononowicza wiersze, do których chętnie się wraca, które chciałoby się czy-tać głośno i zainteresować nimi innych ludzi. Dodajmy, że tom wydany został bardzo starannie, w sztywnej oprawie, zaprojektowanej przez Bożenę Siennicką-Guciewicz. Dla miłośników poezji — wiersze M. J. Kononowicza są prawdziwym rarytasem.

Maciej Józef Kononowicz: „Rekonstrukcja biografii”, Instytut Wydawniczy „PAX”, Warszawa 1967, str. 123.

JAN KOPROWSKI

Pierwszy tom trylogii Zb. Nienackiego

„Liście dębu” Zbigniewa Nienackiego stanowią pierwsze ogniwo cyklu powieściowego, który autor zakroił na trzy tomy. Pełniejsza ocena możliwa będzie dopiero po ukazaniu się całości. Ale już obecnie, na podstawie pierwszego dość obszernego tomu, można sobie wytworzyć obraz zarówno problematyki powieści, jak i losów jej bohaterów. Akcja „Liści dębu” dzieje się w ostatnim roku wojny i pierwszych latach po wywołaniu. Bohaterami powieści są dwaj przyjaciele: Marcin i Michał ze wsi Łęgi Chłopskie i sąsiadujących z nimi Łęgi Szlacheckie, których wojenne dzieje ukształtowały się zupełnie inaczej i rzuciły ich w dwa przeciwstawne sobie obozy polityczne.

Michał, członek oddziału „Szarego”, choć osobiście politycznie niezangażowany, podlegał rozkazom, płynącym z Londynu, a po wyjściu z lasu i perypetiach z nową władzą, znowu zaczął się ukrywać. Inaczej Marcin. Wstąpił, ale i ranny w bitwie o Wał Pomorski, wrócił do rodzinnej wsi, spalonej i zniszczonej; by pochować matkę, która właśnie umarła. Konflikt pomiędzy przyjaciółmi pogłębia fakt, że obaj kochają się w jednej dziewczynie, Hance Grochalównie. I chociaż Hanka Grochalówna przy sięgła miłości i wierności Marcinowi, wyszła za mąż za Michała i ma z nim dziecko.

Powieść Nienackiego plynie więc dwoma nurtami, które zresztą są ze sobą zbieżne. Nurt polityczny daje autorowi sposobność nakreślenia tła i atmosfery wydarzeń oraz odzwierciedlenia skomplikowanej sytuacji okupacyjnej i tuż po wojennej. Natomiast nurt drugi, nazwijmy go: liryczny, sprzyja narysowaniu pogłę-bionych psychologicznie sylwetek głównych bohaterów i ich otoczenia. „Liście dębu” czyta się z zainteresowaniem. Nienacki potrafi zbudować ciekawą fabułę, a niewatpli-wie zdolności narracyjne, jaki mi dysponuje, sprawiają, że czytelnik czuje się wciągnięty w wartko toczącą się akcję. Nienacki świadomie wykorzystuje wypróbowane spo-

soby powieści realistycznej. Zdaje się on lekceważyć tak modną obecnie konwencję pro-zy nowoczesnej, pozostawiając na boku eksperymenty i chwytły „nowej fali”. Bogactwo realiów, pomysłowość w konstruowaniu wydarzeń, temperament i zamiłowanie do narracji (Lust zum Fabulieren — jak mówią Niemcy) stanowią niewatpliwe przy-mioty jego piśmiarstwa. Oprócz opisu, Nienacki gęsto stosuje dialog, służący mu zarówno do posuwania akcji naprzód jak i do charakterystyzowania postaci, a także posługując się, wmontowana w akcję powieści, forma pamiętnika, który prowadzi „zmuszony do ukrywania się” Michał.

Jest tedy powieść Nienackiego zróżnicowana formalnie, dzięki czemu nie nudzi, lecz przeciwnie: wciąga i angażuje. Przy tych niewatpliwych zaletach, chciałoby się prze-cić, aby „Liście dębu” były może bardziej zwarte. Podanie powieści zabiegom pewnej kondensacji artystycznej, mogłoby się okazać pożyteczne dla jej ostatecznego kształtu. Obok scen dramatycznych i pełnych napięcia (jak np. kwestia wysłania Marcina na roboty do Rzeszy, za co ojciec jego otrzymał od bogatych chłopów konia i wóz), znajdują się sceny o osłabionej dynamice, a nawet nieco ckie-lwe (jak np. scena zaprzysię-gania wierności przez Hankę pod krzyżem w noc ciemną).

No tak, ale wtedy nie należałoby, być może, pisać try-logii. Trzeba zatem spojrzeć na dzieło Nienackiego z punktu widzenia zamiaru jej autora. Jest to zamiar powieści epickiej z obszernie podmałowanym tłem społecznym. Pisanie takich powieści w naszych czasach wydaje się być niewatpliwym bohaterstwem. Upór i konsekwencja Nienackiego w tym względzie zasługują na słowa uznania. Pisarz, który nie goni za modą i ma odwagę być sobą, budzi szacunek i zaufanie.

Zbigniew Nienacki: „Liście dębu”, tom pierwszy, Czytel-nik 1967, str. 309.

Od chwili ostatecznego oderwania się od korony hiszpańskiej w roku 1609, siedem prowincji niderlandzkich przeżywało kilkadziesiąt lat wielkiej prosperity i niebywałego rozwoju. Wśród nich rej wiodła Holandia. Sztuka wyrzucała tu z kościołów i miejsc świętych przez fanatyczny ruch obrazoburców protestanckich stała się elementem życia codziennego zamożnych i aspirujących do zamożności mieszczańskich tego kraju. Podczas gdy w sąsiednich katolickich Niderlandach barokowe malarstwo flamandzkie zawdzięcza swój rozkwit istniejącemu tam nadal mecenatowi kościoła i dworu, tworząc z ich inspiracji dla jednych — obrazy religijne, dla drugich — zmysłowe, mitologiczne sceny lub portrety swych dobroczyńców, w republikańskiej holenderskiej, gdzie brakowało wielmożów, mecenatów zbiorowy nad artystami objęło mieszczaństwo.

Mecenat to nowego typu. Artysty nie cieszą się bowiem protekcją czy pomocą swych opiekunów, ale tworzą na zamówienie, malują obrazy na sprzedaż. Muszą więc przede wszystkim dostosować się do gustu i potrzeb odbiorców, muszą też ten gust formować, urabiać i bacznie pilnie, by nie stracić klientów, nie dać się wypierać konkurencji. Błada malarzowi, którego twórczość nie została zrozumiana i zakupiona!

Malarstwo holenderskie w przeciwieństwie do bujnych, rozwiniętych form i fantastycznych tematów baroku czerpie swa treść bezpośrednio z życia, które wokół się toczy. Artysty wrażliwi na społeczeństwo stanowili jedną z grup rzemieślniczych, doskonalili swe rzemiosło i swój warsztat malarski walczyli o byt i pierwszeństwo wśród rosnącej wciąż liczby malarzy. Jedno pokolenie wydało ich całe plejadi. Wystawa łódzka prezentuje niemal liczbę nazwisk mistrzów.

W porównaniu do honorariów wypłacanych mistrzom flamandzkiemu czy hiszpańskiemu cena obrazów holenderskich była przystępna, toteż w żadnym innym kraju nie wytworzył się taki popyt na dzieła malarskie jak w Holandii, pierwszej połowy XVII stulecia. Obrazy stały się podobnie jak ozdobne meble nieodłącznym elementem mieszczańskiego wnętrza. Wypełniały one nagle powierzchnie ścian, dopóki moda na wzorzyste tkaniny nie poczęła ich stamtąd wypierać. Prym w dekorowaniu wnętrz wiodły zamożne domy kupców i bankierów, ale pasja ta ogarnęła też skromniejszych mieszczan i właścicieli

cieli wiejskich posiadłości, trafiają się nawet chłopi, którzy wywozili z miasta zakupione w pracowniach artystów obrazy. Istniejący handlarze dzieł sztuki, pośredniczący między malarzem, a klientami, ale obrazy sprzedawano również na jarmarkach i kiermaszach.

Na łódzkiej ekspozycji prezentowane są świetnie odczytane zasady sztuki, jakie dostrzegamy w tym malarstwie. Przedstawiciele patrycjatu miejskiego zamawiali u wybitnych mistrzów swe portrety, niekiedy zbiorowe, całej rodziny, na tle swych domostw, kantorów, posiadłości. Unieśmiertelnili chcieli swe podobizny, przekazać je potomstwu, utrwalić w ten sposób zdobytą pozycję. Popyt był olbrzymi. Podobno w jednej tylko pracowni Mierevelta wykonano ich około 5 tysięcy. Obrazy te to nie tylko realistyczne podobizny modelu, to również świetne studia psychologiczne, wspaniałe, trwałe i wymowne dokumenty epoki, nieprzebrany materiał dla badań nad strukturą społeczeństwa, jego psychiką i obyczajowością klasową.

Drugi nurt malarstwa to pejzaż. Rozległy, holenderski krajobraz tak pięknie przez człowieka zagospodarowany i uporządkowany stwarzał olbrzymie możliwości tematyczne, pociągał fantazję i dawał sposobność wszelkim eksperymentom warsztatowym. Obok wzruszeń lirycznych, zadumy i refleksji, która wywołuje pejzaż holenderski stanowi również nieocenione źródło ikonograficzne dla badań nad historią kultury materialnej i życia codziennego mieszkańców Holandii. Inna forma malarstwa uprawiana przez mistrzów pędzała do malarstwa rodzajowego. Pogodny humor przenika z świetnych ujęć życia domowego, różrywek ludowych, ulicznych czy karzemnych scen. Obrazy przedstawiły miasta, porty, okręty, bitwy morskie, rybaków przy pracy — wyrażają szeroką skalę zbiorowej świadomości i zainteresowań. Wreszcie popisem kunsztu malarskiego w zastosowaniu bogatej gamy barw i gry światła — są dekoracyjne obrazy przedstawiające martwą naturę w najróżnorodniejszych zestawieniach i ujęciach prezentowanych realiów.

Niektórzy artyści specjalizowali się tylko w jednym z wyżej wymienionych gatunków. Tak np. Ruysdael to król krajobrazu, podczas gdy Franz Hals czy bracia Ostade celowali w humorystyczne scenki rodzajowe. Inni dążyli do wszechstronności. Plejadi świetnych nazwisk zaczęli mistrz nad mistrza, geniusz epoki, ulubieniec społeczeństwa i odrzucony przezon nędzarz — Rembrandt Van Rijn. Syn skromnego młynarza, wielkim talentem i tytaniczną pracą zdobywał sławę, klientów, powodzenie i pieniądze. Rozgłos jego dzieł wychodzi poza granice kraju. Do pra-

cownik jego zjeżdżają moiżni cudzoziemcy. Rembrandt był jednak zbyt wielkim geniuszem, by dogodzić gustom mieszczańskiej klienteli. Z czasem brakło nabywców na jego świetne płótna, popadł w konflikt i długi, które przyspieszyły jego śmierć. Innym nie udało się lepiej. Popadł w samobójstwo, wpadł w alkoholizm lub tak, jak Franz Hals czy Ruysdael kończyli w przytułku.

Sytuacja artysty, zależna od kapryśnych gustów wzbogaconego mieszczaństwa nie była ustabilizowana. Większość współczesnych amatorów malarstwa nie zdawała sobie nawet sprawy, do jakich wyżyn doszła ich szkoła narodowa. Malarstwo holenderskie „złotego wieku”

WACŁAW KONDEK

Siedemnastowieczni Holendrzy robili tak: Stawiali lub kładli na stole kryształowe puchary, guzowate kielichy, obok srebrne, złote, cynowe lub miedziane naczynia kunsztowne, obok księgi, kalamarze, pióra, zwoje jedwabiu, aksamitu, brokatu, aksamitu; na talerzykach, paterach, pół miskach, pastetach, pieczeniu, bażantach, pulardach — na podstawkach napoczęte ciastka, marmelady, powidła, kromki chleba smarowane masłem; — obok na talerzach wiśnie, ananasy, jabłka, winogrona, cytryny rozkrojone na pół, po marańcze, orzechy, platy szynki i pieczeń z dzika; — nad nimi po luźno wiszących dra perach żaby, muchy, motyle i różne owady, a ubite i po-

lupę na szczegóły obrazów i nie może wyjść z podziwu, że można malować aż tak! Z podobną rzetelnością, precyzją i ścisłością malowali zarówno pejzaż, jak portret pojedynczy czy zbiorowy.

— Bo holenderski malarz nie znał lęku przed słońcem i przed innymi stoma grzechami głównymi, które trapią współczesnych krytyków i malarzy...

I co dziwniejsze — Holendrzy wcale nie chorowali na oryginalność ani na swoją nie wocześnieść, ani na wyróżnienie się za wszelką cenę — nawet za cenę prawdy. I dlatego są tak bardzo autentyczni — bo wierzyli w swoją robotę, rzetelność swojego rzemiosła — nie obawiali się urojonych duchów, którymi dzisiaj wzajemnie straszą się ci od krytyki i ci od malowania.

— I dlatego też pewnie — że chcieli być zwyciężni — stworzyli epokę.

* * *

Ale co to wielkie malarstwo, to dopiero przygotowanie — stworzenie bazy dla Rembrandta, Harmensa Van Rijna. Bez tych martwych natur, portretów i pejzaży wyliczanych tak dokładnie, że gołym okiem nie dopatrzysz się uderzenia pędzla — nie byłoby Rembrandta.

— I on zanim stał się sobą, wszystko pojął, przetrawił. Przemysłał i przepracował. Całe doświadczenie współczesnej mu holenderskiej szkoły — i zobaczył, że nie przedmiot jest ważny, a światło i mrok odbite od tego przedmiotu. Że przedmiot istnieje — owszem — ale wyrażenie — racji światła i cienia. — Że obraz jest tylko pretekstem do wyrażenia tych dwóch mocy — do ich walki.

— Ale przed zupełnym w świadomości siebie tej sprawy, był malarzem pierwszej gildii, znakomitością — wspaniałym artystą i pierwszym w swej epoce, o którego obrazy rozbił się holenderscy kupcy, magnaci i nawigatorzy; — którego sławę roznieśli ładowi i moracy handlarze. — Ale już wtedy — w okresie — gdy prosperował znakomitość — gdy bogata kupiecka córka Saskia nie zawahała się oddać mu swej ręki, — już wtedy zaczynał być podejrzanym przez bogate społeczeństwo; — podejrzanym, bo świadomość jego jako malarza wykraczała już wyraźnie poza współczesne malarstwo.

— Znała się historia śmierci jego Saskii, jego upadku, ubóstwa, rozbita domu i bieddy.

— Okres wielkiego znaczenia na ówczesnej giełdzie artystycznej Holandii kończył się, światłość materialna kruśna.

Rembrandt stawał się coraz bardziej samotny, — odchodził coraz bardziej w światło i mrok — walkę szatana i anioła, zmagania ostateczne.

— A przywoici bogactwa holenderscy — dawni klienci,

stracili całkiem zaufanie do malarza, który zamiast za ciężkie guldenty uwieczniać po chlebnie ich konterfekty, zwracał na starość.

Rembrandt mógł przecież na wrocie do manieri swoich współczesnych kolegów i mieć co dzień swojego bażanta i puchar wina na stole — ale nie chciał, bo bez reszty zawiązał swojej wizji — swojej dziecinnej, bezkompromisowej wizji. — Poszedł za nią prosto i zwyciężnie, że aż nie do wiary. — Za taką dziecinadą na starość ciężko się płaci — i Rembrandt zapłacił — zapłacił całą resztą zabiedzonego i zatępnionego życia. — Zszedł na psy — na działy — na okrutne szmaty nogi. — Stał się omal żebrakiem, a może nawet żebrakiem — ktoś to bowiem na pewno może powiedzieć?

— Jednocześnie z malarza znakomitego przemienił się w malarza genialnego, który nie co dzień jada do syta. Stał się nie nie znaczącym biedakiem, którego żadne szanujące się oko nie zauważy bez obrazu dla siebie i własnych pojęć. Przecież sam sobie winien, że stozył się na dno!

— I byłby pewnie zmarł przedwcześnie, nie wypowiedziałby się do końca — gdyby nie Hendrikje Stoffels. Ona nim się zajęła jak siostrę, matka, opiekunka, przyjacielka, kochanka. Prala mu łachy, paliła w piecu, myła podłogi, myła go, dawała mu jeść i pić. — Utrzymała go przy życiu. Bo przecież żebrak opętany swoją wizją nie jest zdolny do znalezienia sobie czegoś do zjedzenia. Jeżeli Rembrandt jest światłem, to Hendrikje jest jego nieodłącznym cieniem. I Hendrikje uratowała od śmierci to, co stało się chlubą malarstwa światowego.

* * *

Od Rembrandta zaczyna się już wiek XX — wiek wspaniały, trudny i niespokojny; — pełen blasku i nędzy, wstępnego i straszliwego upadku człowieka; — wiek, w którym niepewność jest jedynym punktem stałym; — w którym przelatywa najniebezpieczniejsza czarna tera może stać się ostatecznością do dalszego losu.

* * *

Wystawa XVII-wiecznego malarstwa holenderskiego w Łódzkim Muzeum Sztuki jest bardzo piękna. Urządził ją i w katalogu o niej napisał pan mgr Mieczysław Potemski, a dyrektor tego Muzeum pan mgr Ryszard Stanisławski jest człowiekiem niezwykłym — zaktywizował Muzeum od piwnic do strychu; dzięki niemu stało się świątynią ośrodkiem, pulsującym sztuką i kulturą; — stało się tym, czym być powinno.

— Znało już za jego wernisza, na których spotykają się ludzie sztuki i kultury nie tylko z naszego miasta. Muzeum stało się ogniskiem, które zaczyna promieniować; — na razie na województwo.

— Bo już w najbliższych, regionalnych muzeach, zaczynają migotać światła i cienie coraz intensywniej; malarskie, na periferiach, murze, Pamię Redaktorze, zaczynają żyć.

Tele-obiektyw

Telewizyjny Cesarz i Naczelnik

Napoleon i Kościuszko na ekranie telewizyjnym!

Gdy tylko niezawodny Stefan Treutzi zaanonsował widowisko, poprawiłem się w fotelu w oczekiwaniu nieoczekiwanych wrażeń. Rekonstrukcja wydarzeń historycznych, to chyba wymarzony obszar eksploatacji dla telewizji. Nie dla kina ani dla teatru, a właśnie dla telewizji. Film i teatr nie znoszą funkcji służebnych. Mogą sięgać po temat historyczny, ale traktują go jedynie jako pretekst dla uruchomienia właściwego dla obu tych galezi sztuki mechanizmu środków artystycznych.

Natomiast w telewizji można

być sobie wyobrazić systematyczne wystawianie scen historycznych. Można by niemal po suwac się rozdział po rozdziale historycznego podręcznika. Ludzie są tego chyba na swój sposób spragnieni, chcieliby widzieć suche książki przeobrażone w ciału, reaktywne do życia.

Fakty historyczne dzięki specjalnej telewizyjnej przestają być relacją z przeszłości, zamieniają się w relację z teraźniejszością. Pojawiają się znane nam z opisków wielkie postacie nie w charakterze galwanizowanych zwłok ani upiórów ewokowanych z krypt i grobowców, ale

jako ludzie żywi, pełni wahań, podejmujący w naszej obecności ważne decyzje bez historycznego zdeteminowania.

Kameratność małego ekranu wytrzymała przy tym polityczne dysputy, łamie dystans czasu i przestrzeni, przybliża do nas sprawy, nad których odwołaniem mogliśmy wiernym pracując badacz dzieł. Doświadczenie telewizyjnego obrazu sprzyja przy tym pełnej iluzji. Widz odbiera spektakl na zasadzie wiary, że tak rzeczywiście było.

Widowisko Jerzego Krasowskiego „Układy — sprawa z roku 1806” — nawiasem mówiąc, niezachęcający tytuł, które oglądaliśmy w ramach Teatru TV w dniu 13. XI, potwierdziło w zasadzie celowości takich historycznych rekonstrukcji, choć autor i reżyser w jednej osobie nie unikną pewnych nieporozumień. Ale o tym później.

Zacznijmy od wyboru tematu. Rok 1806. Napoleon na zryw cięstwach pod Jena i Auerstedtem zajmując Berlin i szykując się do wkroczenia na nasze ziemie. Sprawa polska dotąd przed niego lekceważona zyskuje nagłe polityczną wagę. Może stać się w rękę ambimnego i cynicznego cesarza elementem przetargu lub wręcz szantażu w stosunku do cara Aleksandra I.

Wszystkie te martwe natury Holendrzy zatopili w brązach, w zielonych brunatnościach, umbrach, ugrach i brązowych sienach tak, że prostokąt płótna tworzył jednolitą w kolorze całość. Wiedzieli, że z kolorem, to gra bardzo niebezpieczna, — że z kolorem nie ma żartów — że trzeba z umiarem i ostrożnością — bo jakże łatwo z koloru zrobić chamską kakafonię farb! — Malowali więc prawie w kolorze, dokładnie i precyzyjnie, tak, że XX-wieczny znawca ciągle jeszcze patrzy niedowierzająco, przez

Ale sprawy polskiej nie da się w tym czasie dotknąć z po miniem pewnego starego, sześćdziesięcioletniego człowieka, który mieszka pod Paryżem, stroni od polityki i nie plaściu żadnego stanowiska. Ale ów starzec (w tych czasach sześćdziesiątkę oceniano się jako zdecydowaną starość) jest bohaterem narodowym, otaczanym przez Polaków czcią niemal religijną.

Akcja widowiska Krasowskiego dotyczy gry politycznej Napoleona, mającej pozornie na celu pozyskanie Kościuszki dla sprawy cesarstwa, a w rzeczywistości obliczonej na izolowanie polskiego herosa i wyeliminowanie z europejskiej szachownicy. Kościuszko przeżył perfidię cesarza Francuzów i okazywał się równorzędny mu mężem stanu. Z godnością zniósł zgaszenie politycznej szansy, która mogła go nawet wynieść na tron Polski.

„Układy” Krasowskiego z góry zakładają więc fabułę nikłą w sensie działania, opartą głównie o analizę postaw, o problem moralności w polityce. Szkoda jednak, że Krasowski — autor nie był bardziej konsekwentny, że podpisał się scenarzystą, mającym rzekomo utrak cywilne akcje, w rodzaju dość trywialnego epizodu z warszaw

ską damą (posagowa piękność Alicji Bobrowskiej nie mogła tu skompensować całkowitej niesprawności aktorskiej).

Inny poważny zarzut dotyczy obsady i potraktowania głównych postaci. Nie wyobrażam sobie w teatrze lepszego aktora w roli Napoleona niż Jacek Woszczerowicz, talentu którego jestem wielkim admiratorem. Powtarzam: w teatrze. W telewizyjnej rekonstrukcji historycznej nie ma jednak miejsca dla groteski i dla tzw. dystansu w stosunku do postaci. Pragnęłoby się widzieć Napoleona bardziej prawdopodobnym.

Identyfikacja niemal rzecz ma się z Kościuszką. Postarzenie się tak zdolnego aktora, jak Bronisław Pawlik, o lat ca. dwadzieścia w teatrze byłoby zadaniem dziecinnie łatwym. Tutaj Naczelnik razit trochę wyglądem przebiegłym, co psuło smak autentyzmu.

Ostatni zarzut drobniejszy na tury. Telewizja ma te zalety, że za jednym ruchem reki może nas przenieść z czarnego dziejsko z Berlina do Paryża czy z Paryża do Warszawy. Po co więc Krasowski — reżyser kwituje te pasaż geograficzny przydługimi wstawkami filmowymi z pędzami karocą? Czy żeby zaakcentować, że w tamtych czasach podróżowało się długo? O tym wiemy, Nato-

miast konfrontacja Napoleon — Kościuszko zyskałaby chyba na dynamiczności, gdyby adwersarze ukazywali się na ekranie jeden po drugim.

Zródło nieporozumienia tkwi chyba w tym, że udratyzowana scena z przeszłości, skonstruowana naukowo, a więc wyważona z troską o wierność autentycznemu tokowi zdarzeń, włożona w ramy Teatru TV, służącego głównie zadaniom artystycznym, Krasowski szukał więc jakiejś wypadkowej między rekonstrukcją historyczną a ambicjami artystycznymi.

Dopiero nadana po spektaklu rozmowa doc. Treutgitta z prof. B. Leśnodorskim i z Marianem Brandsem wykazała niebezpieczeństwo, o co w tej sprawie chodzi. Sroga artystyczna jest tylko nośnikiem. Decyduje treść historyczna.

A że brak nam sugestywnych rekonstrukcji dzieł, brak dyskusji nad tradycjami polskiej racji stanu i rozwojem naszej myśli politycznej, należało się Jeżemu Krasowskiemu słowa uznania za ambitną i interesującą próbę.

Tadysław Główny

CZEMU NIE AS...

Motto: (Herman do „Damy Pikowej”) „niech się pani nie boi. Ja nie mam zamiaru krzywdzić pani...”
(Puszkina)

PANIE REDAKTORZE,

Oto premierowe emocje Łódzkiej „Damy Pikowej” mamy już poza sobą i nie będzie przesadą jeśli na wzór cytowanego w programie pierwszego jej przed 77 laty reżysera, Kondratiewa, przyznam się może nie tylko do „chaosu w głowie” ile do „masy wrażeń”, które jednak trzeba będzie uporządkować jeszcze przed zalecanym przez wspomnianego wyżej petersburskiego mistrza ponownym „nawiedzeniem” tego operowego spektaklu. Spróbujmy owe liczne a różnorodne wrażenia przekazać w takim porządku, w jakim je odbieraliśmy. A więc pięknie brzmiący, wyczelowany przez dyr. Łatoszewskiego wstęp orkiestrowy, swym posępnym minorem przepowiadający tragedię przegranej walki o szczęście... Kurtyna idzie w górę... Na scenie park. To wiemy z libretta, lecz to co widzimy naprawdę jest chyba antyparkiem. No cóż, istnieją dziś antypowieści, antypamiętniki, czemu nie może istnieć antypark? Umowne, martwe kikuty umownych drzew na tle solidnego, aż krępkiego w swym braku wszelkich cech umowności żelaznego parkanu... Z pierwszymi dźwiękami śpiewu ów niepokojący kontrast ustępuje miejsca innemu: ra-

żającej dysproporcji między pełnymi, świetnie postawionymi i nośnymi głosami Surina (Michał Marchut), hrabiego Tomskiego (Eugeniusz Nizioł), a dalekim od tych walorów, słabym mimo wkładanego w fizycznego wysiłku głosem Czekalskiego (Eugeniusz Szynkarski). Wreszcie postać tragicznego bohatera, Hermana (Jerzy Orłowski), mimo widocznej muzykalności, dobrej dykcji i zadowalających warunków głosowych reżysersko ustawiona jakoś zbyt spazmatycznie, żeby nie powiedzieć — historycznie, i to już od pierwszej odsłony, gdy nie jest on jeszcze opętany przez demona hazardu, ani przesładowany widmem hrabiny, lecz jest zwyczajnym, zakonchającym, młodym oficerem. Tymczasem kazano mu młotać się już od początku i na domiar złego ucharakteryzowano i ubrano tak, że trudno pojąć, jak młoda i piękna Liza mogła zapalać doń tak gorącym uczuciem... Wprawdzie nie szata zdoła człowieka, ale istnieje małe praw dopodobieństwo, by uroczyste stworzenia, w jakiegokolwiek by to nie było epoce szalały za młodzieńcami strojnymi z umysłu w karawaniarskie szaty. I to na te mroza kolorowych szamerunków i akselbantów u potencjalnych rywali! Tak jak w spektaklu tym antycypowano opętanie Hermana, tak też uczyniono z widmem Hrabiny. W rzeczy samej tego co utrzymaliśmy już w akcie pierwszym inaczej nazwać nie można! Czemu tak bezkrytycznie uwierzone powieściowemu obrazowi tej postaci, nakreślonego w „Śmierci poety” przez Leonida Grossmana, a nie życiowej prawdzie, że piękne rysy i wdzięk kobiety emanują nawet spoza dostojnego brzemienia starości? Tak to niepotrzebne poszukiwania realiów historycznych w rodzaju zapewne „prawdziwego” modernizmu oficera wojsk „nizmarynych”, jak i „nieprawdziwej” Hrabiny, gwałtem upodobnionej do po kraczego obrazu księżnej Golecyny, ujemnie zaważyły na psychologicznej podbudowie Łódzkiej koncepcji inscenizacyjnej dramatu.

Pojawiająca się już w pierwszej odsłonie postać hermanowskiego rywala, księ

cia Jeleckiego (Jerzy Jadczyk), świetnie realizująca swą partię wokálną, wydaje się z kolei zbyt powściągliwa zarówno w manifestowaniu swego uczucia wobec uroczącej, jak i chęci zemsty zastąpionej w siódmej odsłonie czymś w rodzaju melancholijnej rezygnacji, nieczym nie usprawiedliwiającej kulminującego scenę tragicznego wyzwania...

Rozsuniecie kurtyny z początkiem drugiej odsłony rozwiewa we mnie cicha nadzieję, że skróty i obrazy wspomnianego wyżej parku jest może prologiem do nowoczesnej koncepcji scenograficznej całości (pamięta Pan, Redaktorze, jak chwalił się za to „Rigoletto”!). Nic z tych rzeczy. „Grzeszny”, udrapowany jedwabiem budarek panieński a mimo to iakoś nieprzytulnie rozciągnięty wszcz, każe nadzieję te porzucić. Ze scenograf spektaklu (Aleksander Jędrzejewski) nosi w sobie zawiąski takiegoś unowocześniającego zamysłu, o tym zdają się świadczyć nieśmiało realizowane skróty i uproszczenia oprawy plastycznej odsłony trzeciej (klasycyzująca rotunda pałacu) i czwartej (dwupiętrowy wnetrze pałacu Hrabiny). Zamyśl ten zarzuć jednak w trzech ostatnich odsłonach na rzecz bezproblemowego realizmu, na korzystniej skryształizowanego w obrazie nabrzeża Newy.

Z muzycznie bogatej odsłony drugiej powiało i Florencja, w której Czajkowski stworzył „Damy Pikową”, i nostalgia za jego rosyjską ojczyzną. Wdzięczny duet Lizy z Pauliną (Halina Romanowska-Wojtyra i Alicja Pawlak), oddany czysto z idealnie wyrównaną dynamiką obu partnerek, romans Pauliny, to ładne akcenty tej sceny. Szkoda, że — jak na złość — skądś komplementy wymachiwano reklamą nad makieta delikatnego w swej naturze, walego klawikordu. Oj ktoś tu czegoś z piedestału muzycznej odpowiedzialności za spektakl nie dopiłował, a może zbyt łatwo uległ!

Halina Romanowska-Wojtyra, kreująca rolę uroczą, miotającą konfliktami uczucia i rozsądkiem Lizy, wnuczki „Damy Pikowej”, ma głos urzekający zarówno barwą, jak i wspaniałą, brzmieniową wyrównaną skalą. To głosowe bogactwo, wsparte świetnymi warunkami aparacyjnymi i dobrym aktorstwem, aż się prosi o udokumentowanie niebagatelnej przecież czynności jakim jest dobra dykcja. Jeszcze krok w tym kierunku a zniknie ostatni drobny cień z tej pięknej śpiewającej sylwetki.

Czas wrócić do tytułowej postaci, tak zdeformowanej charakterystyką, że aż dziw bierze, iż kreująca ją Maria Narkiewicz czyni to bez protestu. I czyni to znakomicie. Gdybyż to nie uczyniono z niej widma już w pierwszej odsłonie... Jak wspaniale odbierałoby się jej zachwycająco podaną w czwartej odsłonie starofrancuska arię, relikty tak już dziś

odległej młodości, gdyby odraza i rzeczywistość przesadzona i minus charakterystyki nie niwelowała znacznej części naszego wrażenia. Nie straszmy widzów Maria Narkiewicz! Zbyt dobrze gra i zbyt pięknie śpiewa. By czynić z niej negatywną bohaterkę z „Jasie i Małgosi” Humperdincka! W tym stanie rzeczy może i dobrze uczyniono usuwając scenę zabaw dziecięcej z pierwszej odsłony; gdyby tak te dzieci natknęły się w parku na Hrabine... Strach pomyśleć...

Balet realizujący koncepcję choreograficzną Witolda Borkowskiego miał dwie okazje do popisu: pięknie skomponowaną scenę pasterską do quasi-mozartowskiej muzyki w odsłonie trzeciej, i taniec huzarów w odsłonie ostatniej. Pierwsza okazja dała pewien niedosyt w zakresie precyzji (synchronizacji) zespołowego wykonania, druga — wolna już od tak wiele wymagających od wykonawców muzyków czy tancerzy rygorów klasyki — odznaczała się dobrym tempem i ścią huzarskim wigorem.

Przygotowanie muzyczne chóru (Mieczysław Rymarczyk i Marian Toron) zastępuje na wiele pochwał. Sporo zrobiono tu przede wszystkim w zakresie poprawności dykcji i wyrównania dynamicznego poszczególnych głosów zespołu. Z premii na premierę coraz lepiej gra zespół symfoniczny Opery Łódzkiej prowadzony doświadczonej ręką jednego z najwybitniejszych dziś w Polsce znawców operowego rzemiosła, dyr. Zygmunta Łatoszewskiego. W zespole dziś już nie ma słabych punktów. Wszystkie grupy odznaczają się dość wyrównanym poziomem technicznym i zadowalającym brzmieniem. Szczególnie pięknie wypadły wstępy orkiestrowe przed poszczególnymi odsłonami, wyczelowane — jak się rzekło — świetnie wprowadzające w nastrój każdej ze scen. Szkoda tylko, że na sali w dniu premiery prasowej znalazło się tylu kaszalych widzów... Cóż, aura to już i listopadowa...

Panie Redaktorze, proszę nie marszczyć brwi po przeczytaniu mego kolejnego listu, i to znów o „niemożliwym dziele sztuki”, operze. Wydaje mi się jednak, że od czasu do czasu trzeba także trochę ponarząć. Tym razem jest to o tyle celowe, że winno zwrócić uwagę na konieczność zachowania w każdorazowej realizacji dzieła operowego wszystkich konsekwencji pojęcia jednności w swej złożoności tego gatunku sztuki. A pojęcie to nie znosi stylistycznej mieszaniny, nieujędnolonych koncepcji reżyserskich, muzycznych, scenograficznych. Jednym słowem nie znosi spłyconego pojęcia demokracji. Kwitnie zaś, gdy wysiłek różnorodnych kolektywów artystycznych podąża za jedną, globalną, wyprzedzającą z hegemonia tej formy dramatycznej — muzyki — nacelną koncepcją całości.

ROMAN IŻYKOWSKI



spektakle tygodnia

Teatry

TEATR WIELKI

„Dama Pikowa” 2 spektakle 2556 — 100%
„Halika” 2 spektakle 2556 — 100%
„Pan Twardowski” 2 spektakle 2556 — 100%

NOWY

„Damy i huzary” 5 spektakli 3500 — 100%
„Blacharz burmistrzem” 2 spektakle 1200 — 75%

NOWY

Mała Sala

„Skiz” 5 spektakli 1000 — 100%
„Szkłana menażeria” 2 spektakle 360 — 80%
„Świerszcz za kominem” 1 spektakl 200 — 100%

JARACZA

„Przełom” 6 spektakli 3798 — 100%
„Ogniem i mieczem” 5 spektakli 3165 — 100%

7.15

„Paryżanin” 5 spektakli 2105 — 100%
„Noc spowiedzi” 6 spektakli 3960 — 100%

TZŁ

„Los człowieka” 7 spektakli 3050 — 100%
„Hedda Gabler” 2 spektakle 1050 — 100%

OPERETKA

„Sewastopolski wał” 7 spektakli 6851 — 87%

FILHARMONIA

2 koncerty symfoniczne 1100 słuchaczy 75%

Książki

nadesłane

Miroslaw Knorr — Ikebana z jeża, W. Lub., cena zł 8.

Edward Kozikowski — Wier tepami i gościńcem, W. Lit., cena zł 20.

Hans J. Rehtisch — Wesele Lizystraty, PIW, cena zł 20.

Ference Santa — Dwadzieścia godzin, Czyt., cena zł 11.

ANDRZEJ KEMPA

Współczesny ekslibris radziecki

(Na marginesie wystawy w księgarni „Pegaz”)

Nieprzypadkowo w księgarni „Pegaz” znalazła gościnnie ekspozycja współczesnego ekslibrisu radzieckiego. Ekslibris — najsłabszy znak własnościowy, najeńszczyźniejszy w sztuce, podlegający zwykłej na wewnętrznej stronie okładki, podnosi rangę książki i świadczy o zainteresowaniu właściciela księgozbioru, jego marzeniach i uczuciach. Artysta-grafik, podejmujący się trud wykonania ekslibrisu, musi poznać intencje zamawiającego księgoznaka, by oddać mu po długich i żmudnych czynnościach niewielką za drukowaną kartkę papieru, choć stokrót prawdziwie arcydzieło graficznego kunsztu.



Amerykańska zbieraczka Dween Page i włoski inżynier Gianni Mantero są właścicielami kolekcji, składających się z wieloletniej księgozbioru, co nie wyczerpuje bynajmniej ca-

łej dawnej i bieżącej produkcji graficznej. Dla wielu zbieraczy ekslibrisu jest dziś jedynie dostępną formą kolekcjonowania.

Prawdziwą ozdobą wystawy są prace E. N. Goliachowskiego (ur. 1902), grafika z Leningradu, ucznia Krawczenki i Grabara. Przeszło 160 ekslibrisów wykonanych przez artystę odznacza się fenomenalną wprost precyzją rysunku i poetycką treścią kompozycji. Do ciekawszych należą niewątpliwie ekslibrisy wycięte w drzewie dla niedawno zmarłego Ilii Erenburga i kijowskiego grafika Konstantina Kozłowskiego. Znak własnościowy Jiri'ego Olivii wyróżnia się znakomicie ujętą, pełną ekspresji podobizną szlachetnego rycerza Don Kichoty z Manczy!

Doskonałym opanowaniem artystycznego rzemiosła, wyobraźni i świeżością pomysłu odznaczają się ekslibrisy A. L. Kałasnikowa (ur. 1930), artysty młodszego pokolenia, który zał już poczesne miejsce w światowej czołówce twórców ekslibrisu. Jego jedno i dwubarwne drzeworyty są nowoczesne a przy tym tradycyjnie rosyjskie. Artysta czerpie inspirację twórczą z ruskiej sztuki cerkiewnej i twórczości malarstwa rosyjskich naturalistów ubiegłego wieku. Dante u bram Florencji na księgoznaku dla Gianni Mantero wywodzi się z konwencji średniowiecznej sztuki ksylografiicznej. Don Kichot w walce z wiatrakami na ekslibrisie



dla Antoniego Brosza jest na wskroś nowoczesnym przetworzeniem graficznego tematu. Kałasnikow chętnie wycina ekslibrisy dla Polaków, czego dowodem są przedstawione na wystawie ekslibrisy dla toruńskiego prawnika Krzysztofa Dzierżanowskiego i dwójki łódzian: Magdaleny Gadzinowskiej i ks. Sławoja Pryty.

Tradycjom dawnej ksylografii pozostaje wierny Peteris Upiitis (ur. 1899), zasłużony arty-

sta Łotewskiej SSR. Don Kichot na księgoznaku Upiitisa świadczy o wielkiej sympatii grafika dla przesmutnego bohatera cervantesowskiego romansu. Wielka dojrzałość twórczą Upiitisa, bezbłędność rysunku i oryginalność pomysłów zyskały mu wielką wziętość na całym świecie, czego widomym dowodem są ekslibrisy wykonane przez artystę dla kolekcjonerów i bibliofilów z Francji, Węgier, Norwegii i Polski.

Akwaforty prof. Evalda Oksa (ur. 1915) z Tallinna poświęcone są głównie kobiecie. Jego ekslibris dla Arvid Vilmsi uderza prostotą i dowcipem sytuacyjnym, a ekslibris własny artysty przywodzi na myśl wersety z „Kalewipoeg”, estońskiego eposu narodowego.

Duża grupa ekslibrisów przedstawia kijowskiego grafika Konstantina Stepanowicza Kozłowskiego (ur. 1905). Prace jego związane są ściśle z folklorem ukraińskim, oddają piękno krajozobu, przypominają przeszłość i kulturę Rusi. Z ekslibrisów Kozłowskiego wylaniała się dawna wojna Włodzimierza, kupcy, bojarzy i Kozacy donscy.

Piewcą przyrody i małych leśnych zwierzątek jest Władimir Frołow (ur. 1926), autor znakomitych cyklów graficznych „Życie naszego lasu” i „Leśne tajemnice”. Jego ekslibrisy dla Iwienkiego, Perkina i Brosza przenoszą widza w świat bajki w jej przyrodzie i dziecięcym snu.

Beniaminkiem wystawy jest Aleksander Gajewski (ur. 1946),

Polak urodzony i zamieszkały w Rydze, student III roku politechniki, który wykonał dotąd około 30 ekslibrisów, świadczących o niezłym opanowaniu warsztatu, pomysłowości i śmiałości w rozwiązaniach kompozycyjnych.

Nie sposób omówić wszystkie go, co umieszczono w gablotach księgarni „Pegaz”, wspomnieć wszelkie należy, że obok ekslibrisów wystawiono również bogatą literaturę ekslibrisologiczną, katalogi wystaw, za prośbami i druki okolicznościowe, wydane ostatnio w Związku Radzieckim. Podkreślić wypada, że znaczna część eksponowanych ekslibrisów została otrzymana dzięki osobistym kontaktom organizatorów wystawy z twórcami ekslibrisów, którym to twórcami składa się na tym miejscu serdeczne podziękowanie za ich uprzejmość.



Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

MEKSYKAŃSKIE RYSUNKI EISENSTEINA

Jak informuje wiedeńskie pismo „Volksstimme” zachowała się część rysunków znakomitego reżysera radzieckiego Eisensteina (1898–1948) z okresu jego pobytu w Meksyku.

W roku 1931 Siergiej Michajłowicz Eisenstein

mlodości interesował go egzotyczny Meksyk. Czytywał o nim wiele książek, a nawet napisał sztukę sceniczną pt. „Meksyk”. W wiele lat później znalazł się w Meksyku poznając gruntownie kraj, ludzi, interesując się ich życiem i postępowymi nurtami społecznymi. Ciekawili go też tradycje cywilizacyjne i kulturowe.



Jeden z meksykańskich rysunków Eisensteina

nakrecał film pt. „Viva Mexico”. Do kraju tego wielki reżyser od dawna żywił sentyment. Już w dzieciństwie, a potem w



S. M. Eisenstein

Przywiózł z Meksyku zbiór masek, drzeworytów, eksponatów sztuki ludowej i najpiękniejszych książek.

Podczas nakreśniania filmu Eisenstein wiele po prostu rysował, a nie rysował. Zdumiewała go sprawa w rysunku reka kreślił niemal jedynym pociągnięciem ołówka wizerunki kobiet i mężczyzn w ich typowych, charakterystycznych strojach, sceny z życia itp. Wiele rysunków przedstawia walki byków. Corrida dla Eisensteina nie była jedynie egzotycznym widowiskiem czy rodzajem niebezpiecznego sportu, widział w niej symbol cierpienia i ofiary – tragiczne, kulturowe przeżycie ludzkości, które rekrutowało się z aren starożytnej Krety i starożytnego Rzymu.

SZTUKA INDIAN POLNOCY

Kiedy w XVIII wieku do Indian zamieszkujących Alaskę, która należała wówczas do carskiej Rosji, dotarli naczelnicy z metalu, ci poprzetrabiali je natychmiast nadając im formę tradycyjne dotychczasowych swoich narzędzi kamiennych.

Niedawno w paryskim wydawnictwie Cercle d'Art ukazała się bogata i pięknie ilustrowana książka pt. „L'Art des Indiens d'Amérique”, której autorami są Erna Siebert i Werner Forman.

Nowością wydawnictwa tego rodzaju jest to, że popularyzuje ono po raz pierwszy sztukę Indian Północy, która znaną dotąd jedynie specjalistom. Najwspanialszą kolekcję eksponatów Indian z Alaski posiada muzeum w Leningradzie. Są to obiekty, które przywoziły ze sobą badacze i żelazne rosyjscy w wieku XVIII i XIX. Dzięki temu dziś możemy zapoznać się z cywilizacją i bogatą kulturą Indian Północy. Lud ten żył z rybołówstwa i myślistwa oraz zbierania dzikich owoców. Indianie zorganizowani byli w szczepny rządzone przez miejscową arystokrację. Znamy ją instytucja niewolnictwa. Szczepny dzielili się na rody, które swą nazwę wywodziły od totemu będącego rzekomo ich przodkiem zwierzęciem. A więc rody wywodziły się od niedźwiedzia, wilka, orla, kruków itp. Wierzyli też w dobre i złe duchy zamieszkujące lasy, morze i powietrze. Podczas długiej zimy odbywały się ceremonie re-

Drzewiana owalna maska

ligijne i obchody świąt. Przy tych uroczystościach nakładano na twarz maski, ciała przystrojano w ozdobne szaty. Toteż najbardziej popularnym rzemiosłem stało się tu rzeźbienie i malowanie. Niemal każdy Indian był artystą. Ulubionym tworzywem artystów Indian było drewno, które obrabiali przez długi czas przy pomocy narzędzi z ka-



Maska zakładana na czoło wyobrażająca moskita

mienia, potem z metalu. Niezwykle interesujące są indiańskie maski, zakładane przez kapłanów podczas uroczystości religijnych. Maski te o ciemnych kolorach niebieskim i zielonym były połączeniem przedstawienia elementów twarzy ludzkiej i równocześnie elementów zwierzęcych. Dokładano do takiej maski naturalne lub sztuczne włosy. Muszki imitowały zęby. Zdobne suknie i fartuchy wkładane do tańca, wyrabiane były z włókien roślinnych i koziej skóry. Grzechotki, służące do wybijania rytmu podczas tańca, ozdobione były motywami zwierzęcymi.

Wszystkie te stroje, maski, przybory do ceremonii zdumiewała walorami artystycznymi i siłą wyrazu.

PAMIETNIK FALSZERZA

Jeden z ostatnich numerów paryskiego ty-

godnika „Paris Match” zamieszcza m. in. interesujący pamietnik fałszerza obrazów Dawida Stei-

na. Był on paryskim kup-

cem obrazów. Jego ojciec kolekcjonował obrazy i Dawid wrażał w atmosferze znanstwa sztuki. Dawid Stein wpadał na pomysł, że może znacznie więcej zarobić, gdy zamiast jak dotąd tylko handlować obrazami będzie je podrobił. Pierwsze próby udaje się Steinowi znakomicie. Specjalizuje się w podrobieniu takich malarzy jak Picasso, Chagall, Miro, Van Dongen, Dufy. Marzy zresztą o tym, że będzie malował swoje obrazy i sprzedawał swoje „Steiny”. Na razie jednak sporządza fałszyfikaty. Nabywa tak ogromnej wprawy, że podrobiony rysunek Picassona zanosi do samego mistrza. Picasso przygląda się przez chwilę rysunkowi, mruczy pod nosem: „Nie ma powodu, żeby to nie był mój” i czymś na odwrót rysunki pisze poświadczanie, że rysunek jest jego dziełem. Teraz już Dawid Stein przystępuje do masowej produkcji fałszyfikatów. W pomieszczeniu

WYSTAWA SZTUKI MAJÓW

Wystawa poświęcona sztuce Majów z Gwatemali została otwarta w Marsylii w obecności ambasadora Gwatemali we Francji, a równocześnie laureata Nagrody Nobla w dziedzinie literatury

CHEVALIER W TELEWIZJI FRANCUSKIEJ

Maurice Chevalier

za rok bieżący. Miguela Angela Asturiasa. Wystawa gromadzi 250 eksponatów, które pochodzą z czasu od 2000 lat przed n.e. do tyśiącznego roku naszej ery. Ekspozycja przeniesiona będzie następnie do Bordeaux i Paryża.

Jedną z amerykańskich galerii sztuki zainteresowaną wysokim kunstem odwiedzającym Steina zaproszono do wystawy, ale już własnych jego obrazów. Nie wiadomo jednak jeszcze, czy doskonały fałszerz po trafi namalować własne płótna. Podobno marzy o tym, aby je malować i aby za kilka lat pojawiły się fałszyfikaty jego obrazów.

wystąpił ostatnio we francuskiej TV w spektaklu pt. „C'est la vie”. Spiewał 20 piosenek, w tym kilka po francusku, resztę po angielsku.



Maurice Chevalier w spektaklu pt. „C'est la vie”.

MARIA KORNIATOWSKA

Julien Duvivier

Prasa donosiła, jak zwykle w sposób laconiczny, o śmierci Juliana Duviviera. 71-letni francuski reżyser filmowy zginął w wypadku samochodowym. Nazwisko Duviviera mówiło niewiele bywalcom współczesnego kina, a przecież stanowi ono niebagatelną rozdział w dziejach sztuki filmowej, a zwłaszcza francuskiej sztuki filmowej. Dziwny i smutny jest los reżysera filmowego. Jego sława jest równie krucha i przemijająca jak sława modnej gwiazdy ekranu. Istnieje właśnie zjawisko, które można by nazwać modą na reżyserów. Modny jest Godard i Truffaut, ale nie modni są Carné i Clair. Któż dziś pamięta jeszcze o René Clement, triumfatorze niemal wszystkich festiwali filmowych drugiej połowy lat czterdziestych i pierwszej lat pięćdziesiątych. Tylko nieliczni: Bunuel, Ford, Hitchcock potrafili zachować wieczną młodość i utrzymać się nieustannie w czołowie.

Obok wszechwładnej w świecie filmu mody, niepoślednią rolę odgrywa tu fakt szybkiego starzenia się filmowych talentów. Zwrócił już na to zjawisko uwagę sławny krytyk francuski Andre Basin. Istotnie historia kina dowodzi, iż nawet wielkie indywidualności filmowe przeżywały się nader szybko. Wyjątki tylko potwierdzają regułę. Może talent filmowca jest znacznie mniej żywotny niż talent pisarza malarza lub kompozytora. Może w większym stopniu

ulega presji okoliczności zew-

netrnych... Wielkość De Siki, zaliczanego ongiś do geniuszów światowego kina zamyka się w krótkim okresie między „Dziemny ulicy” a „Umberto D.”. Podobnie krótko trwa świetność Rosselliniego, 7. 8. 10 lat to wszystko. Potem albo przestaje się w ogóle robić filmy, albo robi się coraz słabsze, komercyjne filmy, jak to ma właśnie miejsce w przypadku De Siki. Zagubili się gdzieś, zamikili, bo nikt już ich nie chciał słuchać – Carné i Renoir, Autant – Lara i Castellani, niedyskrecje sławy.

Podobny los doznał Duviviera. Był ongiś reżyserem bardzo cenionym. Obok Carné i Feydera – czołowym przedstawicielem tzw. czarnego realizmu, francuskiej szkoły filmowej lat trzydziestych. Najświetniejszy okres jego twórczości zamyka się w latach 1935–1942.

W roku 1936 powstał film uważany za jego najwybitniejszy, być może, a w każdym razie najbardziej reprezentatywny dzieło – „Pépé le Moko”. Romantyczny i gorzka opowieść o niemożliwej miłości – „Pépé le Moko” – zawiera wszystkie motywy i akcesoria poetyckiego realizmu, czerpane z prozy Francis Carco i Pierre MacOrlana, z przewrotnych wierszy Baudelaira i Verlaine. Na malowniczym tle algierskiej Kasby rozgrywa się dramat wykreślony przez niechęć społeczeństwa szlachetnego bandyty i pięknej nieznajomej. Egzotyka dale-

kich portów i podróży, malow niechęć środowiska tzw. marginesu społecznego, brutalna rzeczywistość i tęsknota do wzniósłych, czystych, niemożliwych do spełnienia uczuć, wielkość i fatalność miłości – oto ulubione motywy pewnego nurtu francuskiej literatury i kina drugiej połowy lat trzydziestych. Kino to było oczywiście wtórne w stosunku do literatury. No, siło na sobie jej wyraźne piętno, ale też właśnie jej zawdzięczała swa świetność. Duvivier był typowym i wybitnym przedstawicielem tego kierunku. W „Pépé le Moko” i w kilku innych jego dziełach ów bunt przeciw mieszczańskiej stabilizacji, przeciw sytości i zadowoleniu z siebie, owa tęsknota za życiem swobodnym, niespokojnym i burzliwym – znalazły swój najpełniejszy wyraz.

Najcenniejszą wartością „Pépé le Moko” jest bez wątpienia klimat filmu, klimat bardzo baudelaireowski, autentycznie poetycki mimo bardzo melodramatycznej fabuły. Film Duviviera w ogromnym mierze przyczynił się też do ustalenia aktorskiej sławy Jean Gaby, który stał się głównym bohaterem tej krótkotrwałej epoki filmowej neoromantyzmu. Duvivier był zresztą mistrzem w prowadzeniu aktorów, a aktorów miał przewybornych, z samym Jouvetem na czele.

Drugi wielki film Duviviera, to „Jej pierwszy łal” (1937 rok), pierwszy właściwie, historycznie rzecz bło-

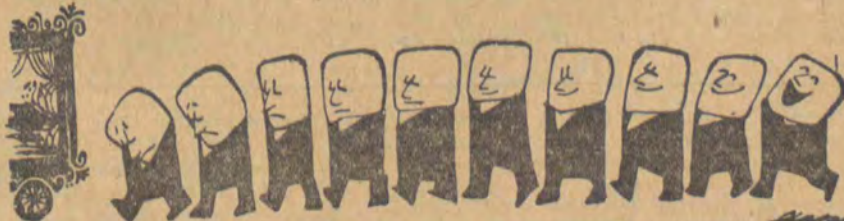
rac, film nowelowy. I tutaj walcą miejscami intrygę radzającą świetną reżyserią i owa niepowtarzalna umiejętność tworzenia nastroju, atmosfery, przestawiania banalu w poezję.

„U schyłku dnia” (1939) to przede wszystkim dwie niezapomniane kreacje aktorskie Jouveta i Simona. Duvivier, sam ongiś aktor, potrafił znakomicie pokazać tragiczny los dzieci teatru, zakażonych jego okrutnym bakylem, nie potrafiących odróżnić rzeczywistości od gry. Mimo wielu melodramatycznych raf, reżyser umiał nadeść przerażająco smutnemu dramatowi starych aktorów – wymiar niemal tragiczny. Duvivier tonie zresztą w pesymizmie. Z upodobaniem wybiera na bohaterów swych filmów ludzi przegranych, pokonanych przez życie, zgorkniętych, optymistycznym akcentem jego twórczości był film „Wielka wygrana” (1936), związany z ideologią i hasłami Frontu Ludowego.

Podczas wojny Duvivier bawił w Hollywood i tu realizuje jeszcze jedno godne uwagi dzieło „Dzieje jednego fraka” (1942). Najjaśniejsze gwiazdy ówczesnego Hollywood od Laughtona i Robinsona do Rity Hayworth blyszczą w czołówce tego wirtuozowsko zrealizowanego filmu. Niektóre epizody są wręcz mistrzowskie, ale całości zabrakło, być może, owej charakterystycznej dla Duviviera poezji banalności.

Potem było różnie. Były filmy gorsze i lepsze. Między innymi znane w Polsce: „Sprawa Maurizusa” (o ambicjach społecznych), „Imieniny Henrietty”, „Człowiek w nieprzemakalnym płaszczu”, ambitna, ale nieudana „Marianna moich marzeń” itd. Dużą popularność zdobył „Mały świątek Don Camilla” oparty na powieści G. Guareschi. Ale sława Duviviera gasła coraz wyraźniej. Szczerze mówiąc, robił coraz słabsze filmy. Pojawienie się pokolenia realizatorów spod znaku nowej fali przypieczętowało jego los. Nie potrafił przystosować się do nowej epoki i jej wymagań. Zegar wymierzający jego czas stanął z początkiem lat czterdziestych, w momencie, gdy rozpętała się utkana z mglistych niepokojów, mrocznych przeczuć i romantycznych porывów szkoła poetyckiego realizmu w filmie francuskim.

Dziś filmy z tamtej epoki wydają nam się śmieszne i wzruszające zarazem. Należą do świata, który już przeminął, który już nie istnieje. Tych kilka filmów, które należałyby ocalić od zapomnienia z liczącego ponad 50 pozycji dorobku francuskiego reżysera, oglądają dziś tylko rzadcy miłośnicy starego kina i bywalcy klubów filmowych. W żadnej chyba sztuce tak szybko nie przechodzi się do historii to do historii, która dla „żywych”, nie ma najmniejszego znaczenia.



Bez strachu

LAMPA MOICH MARZEŃ

Zburzono wiele domów i mieszkań – jako młody chłopiec musiałem kiedyś uciec z pomieszczenia, do którego przywyknąłem we wczesnym dzieciństwie i nie wiem co się stało z fotelami na bieżniach, w którym kołysałem się rozmarzony. Oplakiwałem już uśmiechniętych ludzi i zburzone domy, pisano treny o zgładzonych zwierzętach – niedostatecznie jednak

uważano – się i losem zniszczonych przedmiotów. A przecież utracone przedmioty dzieciństwa to cząstka nas samych – drugi człowiek to indywidualność, to odrębny autonomiczny świat – dlatego ten kto zabija zwierzę – jest światoburcą, tajemnicą i nieznana nam osobistością, jest zwierzę – ten kto zabija zwierzę – podnosi rękę na Nieznanne – natomiast zabójca przedmiotów to morderca częściowy – bowiem nasze codzienne sprzety zmaterializowane, spychologizowane akumulowały nastroje i wzruszeń – na nich to niby odzież na wieszakach zawieszamy nasze uczucia i myśli. Niektórzy muszą pójść do starego stołu, usiąść na wielokrotnie sklejonym krześle, aby z lokajami opartymi o powierzone stoły, z twarzą ukrytą w dionizach odnależć nieoczekiwane bolesne brakujeć cząstkę nas samych. Tak udzielamy i odbieramy siebie przedmiotom – jednak i przedmioty udzielają nam siebie – pamiętam, że drzwiową lustrzaną szafę ze szczytym zapachem naftaliny, pamiętam rzeźbioną szklankę w metalowej oprawie, z której w zamierzony przeszłości ktoś bardzo kochany często pijał złocistą herbatę, oddarowany został barwą i wonią tej herbaty na wszystkie moje dni. My psychologizujemy przedmioty, a one nas konkretyzują, realizują, nadają pamięci naszych uczuć przestrzeń, cieplotę, barwę i wonie. Wrogowie zniszczyli nasze sprzety, nie potrafili jednak zabić w nas ich pamięci i oto nasza wyobraźnia przez rzewną pamięć przedmiotów zyskała godność kategorii przestrzennej, konkretnej, materialnej. Codziennie nakładamy i zdejmujemy odzież, składamy na krzesłach, kładziemy się do łóżek, człowiek nagi nie mógłby istnieć, przedmioty wspierają i zagrażają – są wykładnikami przyjaźni i wrogości we współludzkiej świadomości. Są niezbędne – jak powietrze, jak woda – potrzebujemy się w nich pocić lub głębiej. Pozostają w nas nawet wtedy, kiedy przebiegły wróg spali je i zdruzgota – wróg bowiem wie, że aby nas zniszczyć nie wystarczy zabić ludzi – trzeba także zniszczyć ich sprzety. Dlatego wróg palił nawet opuszczone wioski, burzył bezлюдne domy. Wojna to walka z ludnością oraz z przedmiotami tej ludności i te dwa wektory niszczenia w bezludnej wojnie muszą być respektowane z twórczą mocą. Pamiętam światło naftowej lampy, która w moim najczulszym dzieciństwie ktoś zapalił w pokoju. Nie pamiętam już zapalającego, pamiętam migotliwe, jasne i ciemne wnętrza izby, cofająca się i następująca wrg drgnięciem plomienia ciemności. W tej pulsującej ciemności było wszystko co zdolny byłem przeczuć, wszystko to miało inne niż w przyszłości, hasłowne imiona – imiona na miarę moich dziecińczych wyobrażeń i myśli. Gorąco wierzyłem w bezgraniczną pojemność wiatrych światła i wiatrych mroków. Wszystko – mniemałem – co rozbił się i wszystko co zaciemni się w przyszłości jest już teraz obecne w tej izbie. Wiedziałem, że po latach dane mi będzie inne wyraziste rozumienie i konsekwentne przyzwyczajanie spraw zwiastowanych o obecnie migotliwym światłem i ciemnością. Długo liczyłem kopiec wyobrażeń i wyobrażeń, które złyca nabrzmiała wargi. Plomień przykręcanego kłota malarza – nateżał się i powiększał mrok – zmniejszał obszar światła. Któż, kogo już nie pamiętam dmuchał i lampą zgasiła – pozostałem w mroku i w smrodliwej woni i na tym końcu się moja najwczesniejsza pamięć tego zdarzenia. Nie wiem gdzie jest ta lampa, zapewne dawno już połączona, a może ocalała i ktoś ją zniósł do antykwariatu. Nigdy nie zapomnę jej światła i jej mroku.

BERNARD SZTAJNERT

Obleżony na Jasnej Górze

Raporty polemajstra rozpoczynają się od daty; dnia 17 listopada 1912 roku, godzina 12:30.

W migocącym świetle świec błyszczące złote ikony, kończące modły protorej Stefan Lwowiec Romaniński, proboszcz cerkwi prawosławnej w Częstochowie, pod wezwaniem św. Cyryla i Metodego. Uroczyste nabożeństwo odbywało się na intencję powrotu do zdrowia Wasyli Iwanowicza Arbuzowa, przysława fabrycznego częstochowskiego ucznia¹⁾, ciężko przed dwoma dniami postrzelonego w czasie obławy na rewolucjonistów-mścicieli. O nich to, o bezpardonowej walce z nimi rozmawiali dygnitarze wychodzące z wrót cerkiewnych, nakładając na głowy czapki wojskowe i urzędowe.

Uczestnicy nabożeństwa powoli rozchodzili się. Zatrzymali się jeszcze, rozmawiając, baron Mirbach i polemajstra, Onodał stała grupa członków policji. Od niej to oderwał się przystaw Mazur, podszedł podniecony do polemajstra melując, że przed chwilą rewirówy i pięciu młodszych strażników²⁾. Poszli. Po drodze powiększono oddział o napotkanego strażnika ziemskiego noworadomskiego powiatu³⁾. Z oddziałem szedł donosiciel, miał wskazać poszukiwanych. On też z dwoma strażnikami ubranymi po cywilnemu szedł przodem, o 40 kroków przed oddziałem.

Doszli do klasztoru murem, minawszy główne wrota od południowej strony, skrocili w prawą stronę wawłów, tam zaś donosiciel⁴⁾ głową wskazał strażnikom osobnika samotnie spacerującego, po czym szybko zawrócił. Strażnicy idąc naprzeciw wskazanemu im, w kie-

szem odbezpieczyli broń i zaczęli kroki przed nim, jeden z nich — Kisielw — krzyknął: „Stój! Ruki w wierzbi!”⁵⁾. W tej sekundzie osaczony jednak już strzelał do nich, w każdej ręce broń — parabelum i browning.

Kisielw padł ranny nie zaprzestając jednak strzelania, towarzyszący mu strażnik Kamiński, bijąc z mauerera odskoczył w bok. Osaczony cofał się twarzą do nich i walił raz po raz. Spadła mu czapka. Znał on widocznie klasztor i jego zakamarki. Huknęła zatrzaśnięta furta. Pędził przez ciemne korytarze. Pamiętał drogę wiodącą do sali rycerskiej, a stamtąd — wolność lub śmierć!

W tym czasie baron Mirbach z trzema ludźmi zawrócił i pobił w stronę z lewej strony, sądząc, że wyjdzie naprzeciw osaczonemu, polemajstra zaś pobił do telefonu, znajdującego się w pobliżu sali rycerskiej. Tu też zobaczył go osaczony. A jednak zaszli mu drogę! Zawrócił, biegł przez salę, tylko światło przeblyskiwało na lufach jego broni. Białe pałuskie habity obecnych na sali zakonników zamaryły w swych ruchach. A on biegł, skacząc po stopniach schodów. Dostał się na trzecie piętro, tam skrywszy się za węgiel ściany strzelił do polemajstra, ten jednak uskokczył, wpadł do pokoju z telefonem, wzywał na pomoc policję żandarmerie i wojsko. Strzały z różnych punktów, nasunęły policji przypuszczenie, że tu strzelał nie jeden człowiek. Byli ostrożni, tym bardziej że z okna trzeciego piętra rzucono dwie bomby z dynamitowe. Jedna wybuchła niewiele zresztą czyniąc szkód.

Wezwane telefonicznie przybywały oddziały policji z obu częstochowskich uczastków, naczelnik żandarmerii z podwładnymi, obaj pomocnicy prokuratora trzej sędziowie śledczy miasta, komendant szkolnego oddziału 14 brygady straży pogranicznej z oficerami i 50 żołnierzami, dwaj oficerowie 42 pułku mitawskiego huzarów na czele 50 jeźdźców, pół rot 7 strzeleckiego pułku, oddziały straży ogniowej. Klasztor otoczono ciasną obławą wojska i policji, zabezpieczono wszystkie wyjścia z klasztoru, dzwonnicy, baszty. Kordon otoczył zewnętrzne mury.

Wierne znajdujących się w świątyni klasztornej zamknięto w niej, tylko kobiety i dzieci, na skutek lamentu — wypuszczono. Zatrzymani mężczyźni, gdy musieli wyjść, byli rewidowani, odprowadzani i przeprowadzani pod strażą. Protestowali przeciw temu, radząc aby wojsko i policja zajęły się tym... w baszcie. Podpiciwano z tej masy sił, przeciw osaczonemu.

Tymczasem rozpoczęło formalne obleżenie. Był obleżony i oblegający. On sam, a ich setki. Z obu stron huczały strzały.

Baron Mirbach na czele oddziału policji i wojska z bronią gotową do strzału, wszedł przez salę rycerską do wnętrza 3 piętra kłauzury klasztornej i tam, w polowie galerii obrazów, przy otwartym oknie, z którego obłożony rzucał bomby, znalazł jego pałto. On już w tym czasie usadowił się na trzecim piętrze jednej z baszt wschodniej strony klasztoru, w baszcie położonej w pobliżu kaplicy z cudownym obrazem Madonny. Baszta posiadała pięć okien, z widokiem na różne strony wawłów. Z nich to obłożony mógł dostrzec każdy ruch, każdy cień człowieka — i strzelał, gdy tylko coś się poruszało, przebiegając od okna do okna. Nikt więc nie miał odwagi się zbliżyć.

Wezwano go do przerwania ognia — „chce z nim mówić baron Mirbach”. Uciehł strzały. Mirbach wskazywał na beznadziejność oporu, wzywał do poddania się.

— „Żywym mnie nie weź-

strzały policji i wojska wzdąrliwie nie odpowiada. Ale przy jakimś łada ruchu wokół baszty, strzałami, dać znać, że czuwa.

Obleżenie przeciąga się. Zapada zmierzch. Na prośbę władz rosyjskich rozmowę z obłożonym podejmują zakonnicy — Alfons Romuald i Aleksy. Proszą by uszanował miejsce święte, świątynię Madonny, żeby opuścił swą pozycję, jest otoczony i tak stąd się nie wydestanie. Jeden z zakonników użył niefortunnie słowa „bandyta”. Chwila ciszy, potem stanowczy, donosny, a oburzony głos odpowiada:

— „Żywy nie wyjdę. Bandyta nie jestem lecz rewolucjonista-mścicielem. Chce doczekać dnia i jeszcze raz ujrzeć Jasną Górę w słońcu. Potem sam potrafię się zabić, mam dość nabołów. Przed ranem nie dostaniecie mnie ani żywego, ani martwego”.

Na nie pertraktacje, prośby czy groźby — tylko strzały w odpowiedź. Wieczorem

baszty klasztornej, naprzeciw pozycji obłożonego i w ciągu godziny ostrzeliwali ją z karabinów i mauererów. Bez rezultatu, albowiem obłożony strzelał nadal. W nocy, około godziny 4 nad ranem, na polecenie wicegubernatora podczołgał się pod basztę sztabkapitan Zeigler, założył po murem pocisk dynamitowy na lont. Potężny wybuch. Bez większych efektów — mury mocne⁶⁾.

Nastąpiła potem dłuższa cisza, przerywana pojedynczym strzałem rewolwerowym na pozycji obłożonego.

Baszta przestała odpowiadać na ogień policji. W ciągu przesiadywania, że tak obrone nie mógł prowadzić jeden człowiek — basztę ostrzelano jeszcze rankiem, mimo że na to już z niej nikt nie reagował. Była to już niedziela, o siódmej rano baron Mirbach wezwał na ochotnika trzech strażników, by poszli z nim. Ubrali się wszyscy w pancerze ochronne i ostrożnie posuwając się po schodach weszli do mi-

listopada 1912 roku nie odzyskawszy przytomności.

W niedzielę, dnia 18 listopada, o godzinie 9 rano policja po dokładnym sprawdzeniu tożsamości osób zatrzymanych w kościele wypuściła je na wolność.

Poszukiwania doprowadziły do odnalezienia rodziny, rozpoznali go siostry, Sabina i Maria, jako swego brata Jana, syna Jana Kozłowskiego, mieszczanina, stałego mieszkańca Częstochowy, urodzonego w niej dnia 22 czerwca 1892 roku, kawalera, poźniej robotnika fabryki „Motte”. Wg informacji Ochran Jan Kozłowski należał do roku przeszło do oddziału bojowego częstochowskiej Grupy Rewolucjonistów-Mścicieli znany w niej jako „Rabalski” lub „Kozioł”¹⁰⁾.

¹⁾ Uczestnik — komisariat policji.

²⁾ Grupa Rewolucjonistów-Mścicieli, organizacja anachistyczna, działająca na przestrzeni lat 1910—1913, na terenie Królestwa Kongresowego. Centralnym ośrodkiem była Łódź, zasięgiem działania organizacja były ziemie — łódzka, radomska, częstochowska, piotrkowska, sosnowiecka, warszawska, plocka i łomżyńska.

³⁾ Policmajster — komendant miejskiej policji, przystaw — komisarz, rewirówy — dzielnicowy, st. i mł. strażnik — policjanci.

⁴⁾ Policja dzieliła się na miejską i powiatową (ziemską).

⁵⁾ Śledzili i o rewolucjonistach-mścicielach donosili w Częstochowie — Kubiś Bronisław syn Kazimierza, w Ochranie zwany „Sosnowski”. Owczarek Aleksandra, córka Jana w Ochranie zwana „Stasia”. Nany August, syn Franciszka, w Ochranie zwany „Miot”. Byli i pomniejsi donosiciele werbowani przez poszczególnych rewirówych.

⁶⁾ „Stój! Ręce do góry!”

⁷⁾ Obleżony nie ujawnił swego nazwiska ani pseudonimu — podawał imię lub pseudonim swych nieżyjących już towarzyszy.

⁸⁾ Lis — jeden z członków — uchodząc pognani skrył się w murowanej kuźni, znajdującej się w polu, pod Sławnikiem. Z niej to prowadził skuteczną obronę. Policja sprawdziła wobec tego działą artyleryjskie z obsługą wojskową i dopiero armatnie granaty rozbiły kuźnię, a obłożonego pozbawili życia. Dłużewski — jeden z założycieli Rew. Mścicieli i dowódcą, oblegany w Łodzi, przy ul. Widzewskiej, nie poddał się, policja podpaliła dom, obłożony walcząc do ostatniej chwili po czym odebrał sobie życie. Zabrano zwłoki.

⁹⁾ Klasztor obliczył straty poniesione w związku z obleżeniem na dwa tysiące rubli.

¹⁰⁾ Artykuł jest częścią przygotowywanej pracy pod tytułem „Matylda i Mściciele”.



Jon Kozłowski ostrzeliwujący się z baszty na Jasnej Górze

mieście — odpowiada obłożony — nabołów wystarczy mi na długo”.

Zastępca prokuratora Bach-tierów korzysta z okazji i pyta, jak obłożony się nazywa.

— „Jestem Edward Mściciel z Łodzi — brzmi odpowiedź. — Sep Eamiglowa jest mi bratem i towarzyszem, a Zemsta, Pedzinoga, Błwa i wielu innych należą do naszego orszaku...”⁷⁾.

Tu przerwał rozmowę strzelając na wiwat.

Godziny płynęły, oblegający raz po raz podejmując ogień, z rzadka nań odpowiadając obłożony, wzmacniał jednak ostrzał, gdy z którejśkolwiek strony baszty zauważył jakiś ruchomy cień. Listopadowy dzień, bezdeszczowy, pochmurny choć jasny cienie te łatwo rysuje. Znowu próba rozmowy — tym razem mówi polemajstra Piekur. Ale obłożony nie myśli o poddaniu się, raczej śmierć. Tak, jak umierał kiedyś Lis, a potem Dłużewski⁸⁾. Na

przyjechali do klasztoru z Piotrkowa, zawiadomieni o akcji, wicegubernator piotrkowski pułkownik Pleodor Erastowicz Fortwengler i naczelnik piotrkowskiego gubernialnego zarządu żandarmerii Ostafiew. Na ich polecenie, około godziny 10:30 wieczór, do baszty wrzucono pocisk kwasu azotowego i formaliny, aby obłożonego oszołomić i obezwładnić. Bez skutku jednak wobec otwartych okien baszty. Wobec tego polecono straż, aby strumieniami wody spędzili obłożonego z zajętego stanowiska. A jednocześnie, aby po drabinach można było się dostać na dach gmachu mieszczącego w sobie tzw. pokój królewski, obok baszty, z którego to dachu łatwiej do baszty się dostać. Strzały obłożonego nie dopuściły do wykonania tego zamiaru. Około północy korzystając z zupełnej już ciemności, czterech strażników i trzech strzelców usadowiło się na

czajni baszty. Na podłodze leżał młody mężczyzna z raną postrzałową lewej strony głowy. Na wezwanie przybyli i inni dygnitarze, prowadzili z sobą lekarza, który ustalił, że rana głowy powstała od strzału oddanego do siebie przez obłożonego, który dawał słabe oznaki życia.

Znaleziono przy nim pistolety — parabelum i browning — czarny skórzany pas z nabojami, było ich jeszcze 78, magazynki, odepzwe Grupy Rewolucjonistów-Mścicieli oraz trzy paszporty — na nazwiska Franciszka syna Franciszka Rabalskiego, Stanisława syna Stanisława Zielińskiego i trzeci nie wypełniony, opatrzony jednak właściwymi podpisami i pieczęcią gminy Miedźno.

Władze obliczyły, że do obleganego dano ponad 1.000 strzałów, z jego strony padło około 500.

Rannego przewieziono do szpitala, w którym zmarł 22



Lewym
okiem

CO KROK TO KULTURA!

W niektórych kawiarniach warszawskich zawieszono skrzynki, w których znajdują się karty pocztowe. Karty są bez widoczków, tyle że z opłaconą czterdziestogroszową przesyłką i z wydrukowaną informacją: „Na odwrocie karty prosimy wpisać uwagi, życzenia, ewent. zażalenia na pracę zakładu. W terminie do 2 m-cy prosimy oczekiwać na odpowiedź dyrektora przedsiębiorstwa.”

Karty są adresowane do Stolecznego Zjednoczenia Przemysłu Gastronomicznego w Warszawie, Bagatela 10. Już po ich wydrukowaniu ktoś doszedł do wniosku, sam lub z pomocą, że dwa miesiące to dużo, jak na udzielone odpowiedzi. Wobec tego skreślono odrębnie, długopisem, słowko „m-cy” i nadpisano tymże długopisem „tyg.”. W terminie do 2 tyg. Nakład kart, uwidoczniły małym drukiem u dołu, — dziesięć tysięcy. Wyobraź sobie urzędnika, przekreślającego dziesięć tysięcy razy „m-cy” i wpisującego „tyg.”. Po pierwszych lotce normalny człowiek dostałby hysia, urzędnicy są jednak przyzwyczajeni.

Temu samemu Stolecznemu Zjednoczeniu Przemysłu Gastronomicznego podlegają restauracje warszawskie, ale tam prezornie kart nie umieszczono. Albo może tak, że nie rzucają się w oczy użytkownikom tych lokali lepiej do głosu nie dopuszczając, mogliby naprawdę skorzysta. W kawiarniach nie widziałem ani razu, żeby ktoś korzystał. Wszyscy zadowoleni, albo wszystkim się odechciało.

Co odpowiadałaby Dyrekcja na karty, nadawane pod wpływem przeżyć w restauracji? Co by miała do powiedzenia? Przecież — uprawdzanie nie na pocztówkach, ale w całej prasie jak długo i szeroko — pisze się o tej nieszczernej gastronomii i pizze, a odpowiedzi nie ma, ani po 2 tyg., ani po 2 m-cach, a jeśli już po 3 m-cach jest, to taka, jak o tym czytaliśmy w „Polityce”. Pewnego znanego publicystę nabrano mianowicie w sposób niewątpliwie i ordynarny na kłkankasie złotych przy śniadaniu w Grand-Hotelu w Sopocie; wyjaśnienie było takie, że kierownik sali pomylił daty kelner zamówił przez pomyłkę w kuchni co innego niż chciał klient, potem pomylił się czytając cennik, potem zaś pomylił się wypisując rachunek; ponieważ kierownik sali zmienił posadę, nie ma o co się gniewać.

Przy Stoł. Zjednoczeniu Przem. Gastronomicznego istnieje od paru lat Ośrodek Konsultacji Kultury Obsługi, czyli OKKO. Ciekawe, co się w takim czymś dzieje? Konsultacja — to poradnictwo. Czy przychodzi do Ośrodka kelnerzy i proszą o radę, co odpowiadać dorosłym na drażliwe pytania? Czy ktoś kelnerom poradził, żeby pięć razy nie mylili się w jednym rachunku? Czy nekany wątpliwościami szatniarz dowiódł się w Ośrodku, jak nie urpować wieszaków razem z częścią podszewki, i czy kulturalnie byłoby podawać pałta gościom za tę marną złotówkę?

W autobusach warszawskich też wiszą karty pocztowe, nadziane na specjalny haczyk. Zaadresowane do Miejskich Zakładów Komunikacyjnych, z opłaconą czterdziestogroszową przesyłką, z informacją: „Dyrekcja MZK w dążeniu do podniesienia poziomu świadczonych usług, zwraca się z prośbą o ocenę kultury jazdy i obsługi oraz zachowania naszych pracowników”. Nakład — dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Nie bardzo wiem, co to jest kultura jazdy. Nie wykluczone, że rzeczownika „kultura” nieco nadużywamy, łącząc go już ze wszystkimi hasłami leksykonu pod rząd, albo też że mamy milion różnych kultur: kulturę snu, jedzenia, picia, bicia, jazdy, dawania, brania i wielu innych rzeczy. Mogę sobie natomiast wyobrazić moment, kiedy mieliby się ochotę donieść Dyrekcji MZK o niedobrym zachowaniu się pracownika. Nie „ocenę kulturę obsługi”, tylko zyczynię donieść o niedobrym zachowaniu. Niestety, Dyrekcja MZK nie obiecuje — w odróżnieniu od Stoł. Zjedn. Przem. Gastronomicznego — że na jakikolwiek kartę w jakikolwiek sposób kiedykolwiek zareaguje. To jest wprawdzie otwarte stawianie sprawy i niewątpliwie się w obliczani-cacanki, ale to człowieka zniechęca do sięgnięcia po pocztówkę. Po co?

A przy tym — skoro bez większej chyba pomyłki można przypuścić, że pasażerowie autobusów będą korzystać z kart tylko w wypadkach wyraźnie złej woli i złych manier konduktora i kierowcy, to znów nakład dwustupięćdziesięciotysięczny świadczyłby, że Dyrekcja MZK niezbyt optymistycznie ocenia swój personel...

A w ogóle — po co ten cały felieton, skoro cały czas mowa o Warszawie? W Łodzi przecież nikt nikogo o zdanie nie pyta i spokój.

CWIEK